

1256  
E. JEZIEŃSKI

PRZED  
WIEKAMI



I

2228

**PRZED WIEKAMI**

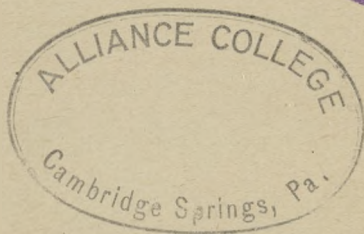
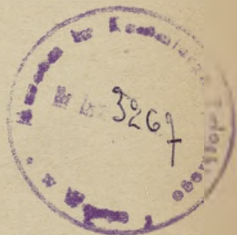


# PRZED WIEKAMI

POWIEŚĆ

PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO



WARSZAWA

Nakładem Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”.  
Wydawnictwo „Biblioteki dla Młodzieży”.

—  
1914.

Druk Zakł. Graf. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

## I.

### SPOTKANIE.

Stary, potężny żubr, o długiej, sięgającej aż do ziemi, brodzie, o wielkiej grzywie, opadającej mu w kosmykach i zasłaniającej oczy, płonące teraz gniewem i złością, zaryczał głucho, i zarywszy się racicami w miękką ziemię wyrzucił ją wysoko.

Chwilę stał nieruchomo, poczem znów przypuścił potężnymi rogami atak do pnia olbrzymiego dębu, po za którym ukrywał się wróg jego.

Lecz jakżeż żałośliwie i mizernie ten wróg wyglądał.

Zdyszany, zalany potem, z trudem chwytający w piersi powietrze, okryty strzępkami odzieży, ostatnim wysiłkiem obiegał wokoło pień olbrzyma puszczy, szukając schronienia

przed atakami rozwścieczonego zwierzęcia, przed grożącą mu, pewną, straszliwą śmiercią.

A żubr w zawziętości swej nie ustawał ani na chwilę. Głębokie ślady, wyryte rogami jego na korze dębu, jak rany świeże, świadczyły najlepiej o tem...

Walka taka, a właściwie pogoń rozszalałego zwierzęcia za bezbronnym, bo przecież za broń nie można uważać krótkiego, leżącego w oddali, na trawie, mieczyka, człowiekiem trwała już dość długo... Świadczyło o tem i okryte pianą cielsko żubra, i wyczerpanie człowieka.

Ziemia wokoło dębu zryta była racicami tak, jakby rolnik przeszedł po niej z sochą swoją...

Porykiwania żubra stawały się coraz groźniejszymi, coraz głuchszymi, tak że nawet śpiewacy leśni zaprzestali swych pieśni, niespokojnie tylko przelatywali z drzewa na drzewo, jakby z trwogą i przerażeniem przyglądając się tej walce zajadłej i oczekując jej wyniku...

Człowiek gonił już resztkami sił... chwila jeszcze, a padnie na ziemię... padnie na to, by dostać się pod racice wroga, by w jedną chwilę zamienionym zostać na jedną krwawą masę ciała.

To osłabienie człowieka instynktownie odczuwał żubr, to też w porykiwaniach jego da-



wał się odczuwać pewien tryumf i pewność zwycięstwa.

Jeszcze raz obiegli wokoło pień, gdy człowiek zachwiał się, potknął o zrytą ziemię i padł...

Sekunda... a stanie się zdobyczą bestyi... Lecz nie... ostatnim wysiłkiem porwał się na nogi i obiegłszy pień, znów za nim znalazł schronienie i ocalenie...

— Czy na długo jednak?...

Żubr, widząc wymykającą mu się zdobycz, wydał głuchy ryk i z wściekłością zaatakował pień dębu...

Znów zawrzała walka i pogoń...

Naraz stało się coś dziwnego... gdy na chwilę zapanowała względna cisza, przerywana tylko sapaniem żubra i ciężkim oddechem ściganego człowieka, rozległ się lekki świst, i zwierzę, rażone niewidzialnym pociskiem, zachwiał się i przypadło na przednie nogi.

Lecz porwał się natychmiast i podniecony jeszcze więcej bólem, spowodowanym przez strzałę, tkwiącą w boku, tym wścieklej rzucił się w pościg za swą ofiarą...

Tkwiąca głęboko w cielsku strzała, sprawiała mu ból dotkliwy, krew z rany płynęła obficie, brocząc wszystko wokoło, okrywając i liście krzaków pobliskich, i trawę, mirjadami rubinowych kropelek.

Zbrakło mu wreszcie sił, poczuł naraz ogarniającą go słabość wielką, tak że musiał zaprzestać ataków, musiał odetchnąć...

A wtedy złowrogi świst rozległ się poraz wtóry, i z gęstwiny leśnej wypadła druga strzała, rażąc go w bok z drugiej strony.

Pod wpływem straszliwego bólu rzucił się żubr z szalem na pień, waląc weń rogami, jak taranem, osłabł jednak z upływu krwi prędko i, ciężko dysząc, osunął się na ziemię, wydając tylko głucho porykiwania, pełne wściekłości i bólu...

W sam czas przyszła ta tajemnicza pomoc, gdyż i człowiek, resztką sił goniący, padł na ziemię, tracąc przytomność...

Ustała walka...

Na polanie puszczy zapanowała cisza, przerywana tylko świergotaniem ptasząt, jakby ze zdumieniem pytających się jedno drugiego, co to znaczy?... co się stało?... i dziwujących się, że padł w walce z człowiekiem taki olbrzym potężny, taki król puszczy, taki mocarz, jak żubr...

W zaroślach puszczy rozległ się szelest, rozchyliły się krzaki i na polance ukazała się, stąpając ostrożnie, wysmukła choć silna postać dziewczęca...

Szła ona powoli, badawczo patrząc przed siebie błękitnemi, jak niezabudki, oczyma, uważ-

nie śledząc niemi każde poruszenie konającego żubra...

Szła ostrożnie, jakby skradając się, a w ręku trzymała przygotowany oszczep, na wypadek, gdyby umierający olbrzym ostatnim wysiłkiem porwał się i chciał ją zaatakować...

Możemy teraz przyjrzeć się jej lepiej...

Pomimo wysmukłości, — rosła i silną jest jej postać... Twarz o pięknych rysach, opaloną przez słońce i wichry, rozjaśnia para błękitnych oczu, z których męstwo i odwaga wyziera...

Złotą kaskadą spadają jej bujne włosy, sięgające aż do kolan, okrywające złocistym płaszczem białą jej szatę, z tkanin lnianych uszytą...

Skórzane kierzce okrywają jej stopy, chroniąc je od cierni i od ostrych kamieni. Przez ramię przewiesza się łuk wielki, a u boku zawieszony ma rodzaj kołczana ze strzałami.

Szła ostrożnie, dzierżąc w ręku oszczep, przygotowany do zadania ciosu, i w ten sposób zbliżyła się prawie do żubra...

Ostatnim wysiłkiem porwał się król puszczy na przednie nogi, chciał wstać, lecz od wysiłku tego krew silniej z rany płynąć zaczęła, wydał też ostatni ryk, bólu i gniewu pełen, i runął ciężko na ziemię, stratowaną racicami i krwią obficie zbroszoną...

Dziki śmiech, śmiech tryumfu i radości wy-

darł się z ust młodej dziewczyny na widok tego ostatniego wysiłku pokonanego olbrzyma... Z śmiechem tym podeszła do niego i pchnęła go oszczepem, jakby chcąc w ten sposób kres jego mękom położyć...

Długą chwilę błyszczącemi z radości oczyma wpatrywała się w zdobycz swoją, aż wreszcie, jakby przypomniawszy sobie młodzieńca, który z żubrem walczył, a raczej przed wściekłemi atakami jego uciekał, — skierowała się w jego stronę...

Odzyskiwał powoli przytomność... Otworzył błędne z przerażenia i znużenia oczy, i nieprzytomnie powodził niemi dokoła. Ujrawszy stojącą tuż przy sobie postać młodej dziewczyny, uniósł się trochę na łokciu, i z trudem wyszeptał:

— Djana!...

Chciał wstać, lecz siły zawiodły go, i ciężko upadł na ziemię...

Wyraz zdumienia odbił się na twarzy młodej dziewczyny, gdy ujrzała nieznane jej zupełnie oblicze...

Nachyliła się nad nim i silnym głosem spytała:

— Ktoś ty?...

Nieznajomy nic nie odrzekł na to pytanie, tylko przyglądał się jej nawpół przytomnemi oczyma.

— Ktoś ty?... powtórzyła zapytanie silniejszym głosem, a gdy i na nie nie otrzymała odpowiedzi, po chwilowym namyśle rzekła:

— Tyś niemy... a może to żubr, lub lęk przed nim mowę ci odjął?...

Pokręcił przecząco głową nieznajomy, poczem, odzyskawszy częściowo przytomność, odrzekł wolno, jakby z trudem dobierając wyrazy:

— Jam nie niemy... i nie straciłem mowy, tylko walka z żubrem siły me wyczerpała...

— A gdzież broń miałeś, żeś się nią nie bronił, i przed atakami jego tak uchodziłeś?... Azaliż niewiastą starą, bezsilną jesteś, a nie mężem dojrzałym?...

— Broń... powtórzył nieznajomy: na samym początku walki żubr wytrącił mi ją z dłoni... napadł mnie znienacka... ot... leży tam...

I wskazał głową na leżący na szmaragdowej murawie błyszczący mieczyk...

Dziewczyna podeszła do oręża, podniosła go z ziemi, i z podziwem przyglądać mu się zaczęła...

— Piękny, — rzekła wreszcie z uznaniem; niema mowy... Dziad Mszczuj posiada taki sam... Wiele skór bobrowych i innych dał za niego obcym kupcom, którzy wielkim szlakiem wędrują... Niemi są, jak i ty... Lecz cóż, — dodała po chwili: cóż on znaczy wobec oszcze-

pu i łuku... Zmogły one żubra, powaliły go, choć już stary był bardzo i postrach szerzył wokół, tak że nawet mężowie ustępowali mu ze ścieżek jego... Aż padł z ręki mojej... Zginałbyś, jak robak marny, z mieczykiem swoim, gdyby nie one...

Z zajęciem słuchał nieznajomy młodzian jej mowy... z trudem pewnym chwytając niektóre niezrozumiałe słowa, starając się pojąć ich sens i znaczenie...

— Jam nie Niemy, — powtórzył wreszcie raz już wyrzeczone słowa: słowiańską jest krew moja... jam synem knezia, wielkiego, potężnego... Długie tylko lata żyłem w niewoli, u Niemych... a potem w Rómie potężnej... Tam zapomniałem naszej mowy, naszych obyczajów... Lecz mnie coś ciągnęło do swoich, do tych puszczy zielonych, do tych łąk... do rzek i strumieni... Pacholęciem porwano mnie z grodu rodzica mego... kazano zapomnieć wszystkiego... wyrzec się... i stało by się tak niechybnie... Otoczony zbytkiem i przepychem Niemych kneziów, zostałbym sam Niemym, wrogiem braci swoich, gdyby nie pewien stary niewolnik, słowianin, taki jak i ja, nie wyuczył mnie potajemnie mowy ojców, w opowieściach swych nie wspominał ziemi mej ojczystej, cudów jej i czarów... Umarł... a wtedy mnie tęsknota żreć za moimi poczęła... Nie mogłem wytrzymać w Nie-

mych bogatej krainie, choć mnie i pod cudne, wiecznie błękitne niebo Italji wozili, gdzie ciągle prawie wiosna panuje... i do Grecyi przecudnej posyłany byłem... Tęsknota mnie brała za temi puszcami zielonemi, nieprzebytymi, tak pełnemi czaru i uroku... Aż wreszcie pan mój, z nakazu władcy swego, z ziemi Italskiej przybyć musiał tu, niedaleko, do Sasów krainy... Nie mogłem już zdzierżyć... Owiął mnie, zda się, przecudny wiew ziemi słowiańskiej, dobiegł do uszu moich tajemniczy ich poszept, jakby wzywający mnie: chodź... chodź...

Uciekłem... uciekłem, zabierając jako całą broń ten mieczyk mały, i przekradając się przez góry, puszcze i doliny leśne, przepływając rzeki, przybyłem tu, szukając rodzica...

Umilkł na chwilę nieznamy, jakby tchu nabierając, wreszcie mówił dalej:

— Unikałem siedzib ludzkich... unikałem ich, bojąc się, że natrafię tam na wrogów... Możliwym tak dotarł do grodu rodzica mego, gdyby nie ta przygoda z żubrem...

Z zajęciem i zaciekawieniem słuchała opowieści jego młoda dziewczyna, a gdy skończył, rzekła, dumnie wznosząc do góry głowę:

— W kraju Lechitów jesteś, a ród nasz nigdy krzywdy żadnej podróżnemu nie uczynił... Gość w progach sadyb naszych świętym jest i nietykalnym... Chodź ze mną, a opatrzo-

ne zostaną rany twoje, a z gościnności naszej korzystać możesz dowoli... Jam wnuką głowy rodu naszego, knezia wiślańskiego, a zważ mnie Luda...

Długą chwilę patrzył przed siebie młodzieniec, znać było, że skupia myśli, że stara się przypomnieć coś sobie, coś, co już mgła zapomnienia tumanem swoim okryła...

Wreszcie rzekł:

— Nie pomnę... nie mogę sobie przypomnieć, jak zwano mnie w domu rodzica mego... tyle lat od czasu tego upłynęło... A Niemi, wzięwszy mnie do niewoli, nadali mi imię swoje... nazwali mnie Arnulfem... lecz ja nie chcę tego imienia... nie chcę... tak samo, jak nie chcę łask ich i dobrodziejstw... Krew moja słowiańska burzy się we mnie, na myśl o mnogich krzywdach, jakie rodowi memu wyrządzili... Pragnę pomsty nad nimi... Odrzucam swą przeszłość, a przyszłość ma cała będzie zemstą nad nimi...

— A więc właściwe imię twoje będzie Mściwój, — z uśmiechem rzekła Luda...

— Tak jest, dzięki ci... Będę Mściwojem, i zemsta tylko kierować będzie wszystkimi czynami memi...

Chciał wstać, lecz silny ból, wywołany stłuczeniem, nie pozwolił mu, z głuchym też jękiem opadł na ziemię...



— Nie mogę, — wyjąknął: musiałem w ucieczce przed żubrem nadwyrężyć nogę... Zostaw mnie, Ludo... Tu zginę, tu kres wędrówki mojej...

Lecz Luda nie słuchała nawet słów jego... pomimo protestu, energicznie zabrała się do badania uszkodzeń na ciele jego, wreszcie porwawszy za nogę, silnie za nią ciągnąć poczęła, byle tylko zwichnięcie nastawić. Chrupnęła kość, Mściwój wydał lekki okrzyk bólu, po chwili jednak odrzekł, że czuje się już znacznie lepiej, i że będzie mógł powoli iść za nią...

— Wesprzyj się na ramieniu mojem i na oszczepie, — rzekła Luda: a poprowadzę cię do grodu naszego, gdzie już dziad Mszczuj da ci należyte opatrzenie...

I poprowadziła go skroś puszcę, dobrze jej tajników i ścieżek ukrytych świadoma...

Przeszli tak kroków kilkanaście, gdy Mściwój stanął i obejrzał się poza siebie.

— Czemu oglądasz się?—spytała go Luda.

— Tam... żubr pozostał... odrzekł: rozszarpie go ptactwo dzikie... zwierzęta... szkoda zdobywszy tak wspaniałej...

— Nie troszcz się o to, — odrzekła ze śmiechem Luda: przyjdą wnet po niego z grodu i zabiorą go... Takiej zdobyczy na pastwę dzikich zwierząt i ptaków się nie zostawia...

— A miecz mój?...—spytał znów Mściwój.

— Jest przy mnie, — odrzekła Luda...

Poszli dalej...

A na martwe cielsko potężnego żubra, króla puszczy, kładły się złote promienie wiosennego słońca... I ptactwo leśne krążyć nad nim poczęło, z pełnym zdumienia świergotem, że padł ten, który postrachem był wielu...

A oni szli powoli, ostrożnie, ku skrajowi puszczy dążąc... ku grodowi, położonemu nad wielką rzeką...

---

## II.

### GRÓD.

Na wyniosłym brzegu Wisły wznosił się gród potężny...

Wielki to był gród i warowny, snąć obawiano się w nim niespodziewanej napaści nieprzyjaciela, — zabezpieczono się też przed nią należycie.

Wysokie wały, utworzone z gliny palonej na czerwono, otaczały gród potężnym pierścieniem z trzech stron, z czwartej zaś strony najlepszem zabezpieczeniem od napaści wrażej — był stromy a wyniosły brzeg, omywany przez szare fale Wisły.

Jakby jednak niedowierzając mocy i potędze wałów, mieszkańcy grodu zabezpieczyli się jeszcze i głębokimi a szerokimi fosami, pełnymi wody, ciągnącemi się u stóp wałów, i potężnymi palisadami, zbudowanemi z pni dębowych na szczycie wałów.

W palisadach tych wycięte były mnogie strzelnice, dla odparcia przypuszczalnego ataku nieprzyjaciela miotaniem strzał i włóczni...

Za takim zabezpieczeniem potężnym znajdował się dopiero gród właściwy... Szereg domów mieszkalnych, z grubych bierwion dębowych budowanych, z otworami w pokryciu dachu, ażeby dym z ogniska miał którądy ujście, z okienkami maleńkimi, błonami ze skór zwierzęcych pozaciąganymi, przez które z trudem przedzierało się słabe światło dnia.

Oprócz domów mieszkalnych znajdowały się w obrębie wałów grodu gumna, zagrody dla bydła i inne zabudowania gospodarcze...

Praca wrzała w grodzie i na otaczających go polach, gdy ukazała się Luda, wiodąca Mściwoja...

Z ciekawością podniosły się do góry głowy zajętych pracą, patrząc na nieznanomego...

— Hej, Luda... — zawołał gromko młody chłopiec, zajęty naprawą sieci: — gdzie pojmała tego jeńca?...

— W boru — odrzekła ze śmiechem Luda: — lecz nie jeniec to, a gość nasz... Wiodę go do dziada, by wysłuchał go i poradził... A przytem i poturbowany jest srodze w walce z żubrem...

— Z żubrem?... — zawołał z ciekawością młodzian: — a gdzie on?... gdzie?...

Porwał się z miejsca, gotów biedz do miejsca, gdzie mógł się zatrzymać król puszczy...

— A idź, Właście... idź... a zabierz z sobą paru kmieci... tam, w puszczy, pod wielkim dębem... leży on... a spiesz się, by wilki i kruki nie zabrały się do niego...

— Leży... pokonany?... — zawołał z niedowierzaniem Włast: — i on go powalił?... on... gołemi rękoma...

— Nie, — odrzekła ze śmiechem tryumfu Luda: — moje to strzały go zraniły... moje...

Z podziwem popatrzał Włast na Ludę, potem, porzuciwszy naprawianą sieć, pobiegł czempędzej, zwołując na pomoc kmieci i śpiesząc po zdobycz...

A Luda tymczasem prowadziła Mściwoja przez obszerne podwórze do wielkiego domu, na którego przyźbie siedział starzec, z długą po pas siwą brodą, w białe lniane szaty przyodziany...

Wsparty na długim kiju siedział, ze wzrokiem w dal utkwionym, jakby rozmyślając nad czemś, jakby rozważając sprawy nader doniosłe.

Do starca tego podeszła Luda, i dotykając ręką ramienia jego, rzekła cichym głosem:

— Dziadu!...

Podniósł starzec głowę, jakby obudził się

z zadumy, i utkwivszy w wnuczce jasne, podobne do jej, oczy, odrzekł:

— Co chcesz, Luda... — a spostrzegłszy stojącego przy niej Mściwoja, spytał:

— Kto zasz jest ów młodzian, w stroju tak odmiennym od naszego, z jakich przybywa on stron?...

Przypadła Luda do ramienia dziada, i tuląc do niego twarz, rzekła:

— Dziadu... on nasz... z naszego pochodzi plemienia, z kneziego rodu, lecz Niemi zabrali go do niewoli... dziecięciem jeszcze, i chcieli koniecznie wychować na swego... Mimo to jednak nie zapomniał on o rodzie i pochodzeniu swoim... Słowiańskie serce biło w piersi jego, i gdy tylko do mężkich lat doszedł, wyrwał się Niemym z niewoli, i przez puszcze, przez bory olbrzymie przedzięrał się, byle tylko do ojczywego powrócić kraju... On nasz, dziadu...

Długą chwilę przyglądał się Mszczuj bawczo Mściwojowi, wreszcie spytał:

— Z jakiego rodu pochodzisz, młodzieńcze?...

— Nie pomnę, — odrzekł zapytany: — małem pacholęciem byłem, gdy porwali mnie Niemi... Jak przez mgłę tylko widzę gród rodzica mego, podobien do waszego, drużyny zbrojne... Rózkazował on im... kneziem ich był, i często na wyprawy wojenne chadzał... Więcej nie pomnę,

gdyż Niemi usilnie starali się o to, bym o rodzie i pochodzeniu swem zapomniał... Wysokie godności przeznaczali dla mnie w swej krainie, lecz jam wolał uciec od nich, do swoich... tak mi tęskno było do borów i puszczy zielonych, do tych gajów świętych, w których wasze stoją bogi...

Umilkł Mściwój, a Mszczuj, skłaniając głowę, odrzekł:

— Bądź pozdrowion na ziemi pobratymczej... Wszelkich starań dołożymy, by dopomóż ci w odnalezieniu rodzica... A tymczasem przyjm gościnność w grodzie naszym i uważaj go za swój...

W jakimś dziwnym porywie wdzięczności przypadła Luda do ręki dziada, Mściwój zaś niskim podziękował mu ukłonem...

Skinieniem ręki pożegnał ich Mszczuj, i gdy posłusznie odeszli, zatonął w poprzednich swych dumaniach...

Luda prowadziła dalej Mściwoja, mówiąc:

— Poprowadzę cię teraz do rodzica, a on zajmie się tobą... Gdy już dziad wziął cię pod opiekę swoją, jesteś nasz... i w naszym grodzie możesz nazawsze pozostać...

— Pragnąłbym tego, — odrzekł jej Mściwój, z ukłonem grzecznym, którego od Niemych, w dalekiej Italskiej nauczył się krainie: — lecz przedewszystkiem pragnąłbym od-

należć i rodzica mego, i gród... A potem... potem powrócę tu...

Jakiś czas panowało pomiędzy nimi milczenie... Szli pobok siebie, nie śmiać spojrzeć na siebie...

Zbliżali się już do budynku, z którego dziwne jakieś dobiegały odgłosy, gdy naprzeciwko nich ukazało się kilka młodych dziewczyn, w białe, lniane szaty przyodzianych, z zielonemi wieńcami na głowie...

— Ludo!... Ludo!... — rozległy się ich wołania, podczas gdy oczy ciekawie przypatrywały się postaci nieznanego.

Uśmiechnęła się do nich Luda, i odrzekła:

— Wijcie wieńce, wijcie, a ja wnet przyjdę do was, tylko odprowadzę do rodzica gościa naszego...

I poszli dalej, przeprowadzeni pełnemi ciekawości spojrzzeniami dziewcząt...

— Jutro mamy święto Łady, dobrej i pięknej bogini, której cześć oddają wszystkie dziewczęta i niewiasty... Szykujemy się też do godnego uczczenia dnia tego, a każda z nas zawczasu myśli o tym, który jest miły sercu... którego za towarzysza obierze sobie na dzień jutrzejszy...

— A ty, Ludo?... — spytał Mściwój...

— Ja?... ja mam poprowadzić korowód



dziewic, zdobiących kwieciami i wieńcami posąg bogini...

Tak rozmawiając doszli do budynku, na którego progu stał rosły, średnich lat mężczyzna, wydający gromkim głosem jakieś rozkazy zajętym wewnątrz niego ludziom.

Na odgłos kroków odwrócił się, i wtedy Mściwój ujrzał oblicze jego, pełne, rumiane, okolone długą, jasną brodą, a oczy jego podobne były do oczu Ludy i Mszczuja...

Luda podeszła żywo do ojca i coś mu objaśniać po cichu poczęła...

Badawczem spojrzeniem mierzył on Mściwoja, wreszcie podszedł do niego i ujmując za rękę, rzekł:

— Bądź pozdrowion w domu naszym... Jam Sambor, syn Mszczuja, — witam cię w grodzie naszym i wszystko i wszystkich oddaję na usługi twoje...

Skłonił się nisko w podzięcie Samborowi Mściwój, a ten ostatni rzekł, zwracając się do Ludy:

— Idź, Ludo, do towarzyszek swoich... Oczekują one na ciebie z wiciem wieńców na jutrzejszą uroczystość... Już niespokojny byłem, czy nie stało ci się co złego, gdyś tak długo z łowów nie wracała... Myślałem, że dziki zwierz cię napadł...

— Ubiłam żubra, ojcie... potężnego, tego,

który w pojedynkę włóczył się po puszczy, nie dając się podejść nikomu...

— A gdzie on?...

— Właśc udął się po niego do puszczy, i tylko patrzeć, jak go przywiozą...

— Przyda się na jutrzejsze uroczystości,— rzekł Sambor, gładząc po złotej głowie Ludę:— a teraz idź... idź... towarzyszki czekają na cię...

Odeszła Luda, skinieniem głowy żegnając Mściwoja.

Mężowie pozostali sami. Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie Sambor rzekł:

— Pozwólcie... znużeni jesteście i drogą daleką, i walką ciężką z żubrem... spoczniecie w izbie...

I gestem wskazał mu na drzwi, wiodące do wnętrza domu.

— Bogowie wasi niech wam zapłacą za gościnność, — odrzekł mu wzruszony Mściwój: — myślałem, że zamrę w tej puszczy straszliwej, bez wyjścia, zanim zajdę do rodzinnego grodu...

— A gdzie on jest?... — spytał Sambor.

Ścisnął beznadziejnie ramiona Mściwój i odrzekł:

— Nie wiem... przepomniałem ze wszystkim... Z trudem tylko, jak przez sen, wspominam sobie, iż był to gród wielki, na brzegu jeziora położony... Rodzic mój kneziem tam

był... Pomnę jeszcze, iż w pobliżu znajdował się gaj święty, w którym wznosił się posąg boga, że rodzic mój składał mu ofiary... Lecz więcej... więcej nic nie pomnę... Zginęło to wszystko dla mnie w pomroce czasów... Wszak tak małym pacholęciem byłem, gdy Niemi zabrali mnie do niewoli... I tyle... tyle lat przeżyłem zdala od rodzinnej ziemi...

I skarżył się Mściwój głosem bólu pełnym, tak że wzruszył nawet mężkie serce Sambora. Położył też on rękę na ramieniu jego i rzekł.

— Nie trap się bezpotrzebnie Mściwoju... Pomożemy ci odnaleźć i gród rodzinny, i rodzica, po którym, kto wie, czy kneziowskiej nie osiągniesz władzy...

I ująwszy go pod ramię wprowadził jak dziecię bezradne do wielkiej izby, o pułapie z belek potężnych, w której stało już naszykowane łoże wielkie, ze skór zwierzęcych usłane...

Legł na nie Mściwój, i w chwilę potem zasnął mocnym snem.

---

### III.

## ŚWIĘTO ŁADY.

---

Od samego świtu w przecudny dzień majowy zawrzało życie w grodzie nad Wisłą...

Znać było, że dzień ten jest innym niż wszystkie, przeważnie pracy poświęcone, zwłaszcza zaś widocznem było, że jest to święto młodzieży, z ożywienia, jakiem cała młodzież lechicka przejęta była.

Zaznaczało się to w stroju dziewcząt, który był i jaśniejszy i barwniejszy, i w wieńcach przepięknych kwiatów wiosnianych, wieńczących ich głowy.

I młodzież męska niemniej okazała i uroczyście wystąpiła. I ona miała na sobie odświeżony strój, i ich głowy wieńczyły wieńce zielone z liści dębu.

Wszyscy zbierali się przed chatami, czekając na znak do rozpoczęcia pochodu do ga-

ju, w którym, otoczony zielenią drzew, wznosił się posąg bogini.

Oczekiwano ukazania się Ludy, gdyż ona to miała prowadzić cały korowód dziewic, jako najkrańszcza z nich, a zarazem jako wnuka kneziowa.

Ociągała się z przyjściem tak, że nawet rozlegać się poczęły pytania:

— Gdzie Luda?... co się z nią dzieje?... czemu się opóźnia?...

Naraz na progu domu kneziowskiego ukazała się ona, lecz tak cudna w całej swej krasie lat młodych, że wszyscy stanęli jak wryci...

Biała, płócienna, z purpurowem obramowaniem okrywała ją szata, drobne nóżki uwięzione były w purpurowe skórznie, z dalekiej ziemi bizantyjskiej przywiezione, a na szyi błyszczał łańcuch złotych monet, zwieszający się paru rzędami aż na piersi...

Głowę jej o dwóch, aż do ziemi sięgających kosach, wieńczył z zieleni uwity wianuszek.

— Darujcie mi, moje drogie, — zawołała dźwięcznym głosem: — że opóźniłam się, ale chciałam się piękną wydać w dniu święta naszej bogini... Chodźmy żwawo, w gaju świętym czekają już na nas napewno dziewczęta i chłopcy z okolicznych grodów i siół...

I zbiegłszy szybko z pagórka, zajęła na-

czelne miejsce w korowodzie dziewcząt, podobnie, jak brat jej, Włast, stanął na czele chłopców.

Szli drogą, głośno śpiewając pieśni na cześć bogini Łady, w których strofę każdą zakończali okrzykiem:

— Oj Łado, Łado...

Idąc drogą nie próżnowali... Na wyścigi i chłopcy i dziewczęta, zrywali kwiaty polne, z których wnet wito wieńce i festony, służyć mające ku ozdobie posągu bogini i gaju jej poświęconego.

Wesoło i gwarno było na drodze, wijącej się wężem wśród pól zbożem obsianych. Ochocho podążała młodzież ku gajowi, bogini poświęconemu, by jej święto święcić, by cześć jej oddać, a zarazem o szczęście na przyszłość błagać...

Na samym końcu, poza wszystkimi, powoli, ciągnął Mściwój w towarzystwie Sambora. On jeden nie podzielał ogólnej radości i wesela. Smutek malował się w oczach jego, a na czole wyrytą była zaduma.

Patrzył na radość młodych, słuchał ich śpiewów i okrzyków, i coraz większa chmura przesłaniała oblicze jego.

Spostrzegł to wreszcie Sambor i spytał:

— Czegoś smutny, Mściwoju?... Co jest przyczyną, że miast weselić się z innymi, miast

się radować z święta dzisiejszego, z przecudnej pogody, ponurą masz twarz i serce smutku pełne...

Podniósł Mściwój głowę do góry, przetarł oczy, jakby ze snu się budząc i odrzekł:

— Daruj, Samborze... wybacz mi moją zadumę i smutek, lecz ból dziwny zatargał mi sercem... Przez lat tyle pobytu wśród Niemych, którzy mi gwałtem wiarę swą i mowę narzucili, zapomniałem zupełnie i o wierze ojców moich, i o zwyczajach naszych, i o obrzędach... Obce to mi jest teraz i dalekie... Nie rozumiem ich, i dziwię się im... I to właśnie boli mnie tak bardzo...

Spojrzał nań z powagą Sambor i po chwilo-  
wym namyśle rzekł:

— Otrząchniesz z siebie te Niemych dary, któremi cię gwałtem obdarzyli. Niech cię tylko owionie woń pól naszych, niech tylko przemówią do ciebie poszeptem swym nasze gaje święte... Niech tylko wielkim głosem zawoła do ciebie ta ukochana ziemia nasza, a wtedy... wtedy... zrozumiesz wszystko i pokochasz... Odrzucisz precz naukę Niemych, a staniesz się Lechitą, jakim jesteś z krwi i kości...

Umilkł Sambor, a po chwili ciągnął dalej:

— Mówisz, iż nie rozumiesz święta dzisiejszego, że obcem ci jest ono i dalekiem... Chcesz, wyjaśnię ci wszystko jaknajdokładniej... Gdy

przyjdą przecudne dni wiosenne, gdy wszystko na świecie budzi się do życia i radości, gdy pąki na drzewach pękają, okrywając je świeżą zielenią liści, a łąki i łany okrywają się świeżymi źdźbłami traw i zbóż, jednym słowem, gdy wszystko naokół zrzuca z siebie pęta martwo-ty i rwie się do życia i szczęścia, wtedy święcimy wielki dzień święta bogini Łady. Wielce miłościwa i dobra to bogini... Opiekuje się ona wszystkimi dziewczycami, jako bogini krasy niewieściej...

Siostrą jest ona i główną pomocnicą boga Ładona. Wielki to bóg i potężny. Władą on ziemią i niebem... Toż to on wyznaczył słońku drogę prawidłową, którą ma chadzać codzien-nie... Toż to on niebo całe usiał gwiazdami, oraz rok podzielił na cztery pory, każdej nada-jąc odpowiednie przeznaczenie... Opiekuje się on również i zwierzętami i roślinami, które po-dzielił na różne rodzaje... Skrzętnie zajmuje się on wszystkimi sprawami człowieka i radzi mu, radzi we wszystkich troskach i kłopotach... Po-tężny to i miłosierny bóg, to też uciekają się do niego o pomoc wszyscy nowożeńcy, w dniu swych godów weselnych, aby w domu ich za-prowadził taki sam ład i porządek, jakie panu-ją na ziemi i niebie... I oto gdy młody małżonek składa ofiary i zasyła modły do Ładona, nie-wiasta jego toż samo czyni do Łady, błagając



ją gorąco, aby ją upiększała w oczach męża, tak jak upiększała dzieła małżonka swego.

Z zajęciem słuchał Mściwój tych wyjaśnień, a w miarę tego chmura znikąca z czoła jego, a usta w uśmiech się przybierały.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do gaju, z którego dobiegały już do nich melodyjne dźwięki gęśli i odgłosy pieśni, śpiewanych przez młode a silne głosy dziewczęce i męzkie.

— Spóźniliśmy się trochę, — rzekł Sambor, — młodzież z innych, okolicznych grodów i siół przybyła już, i w oczekiwaniu na nas, zabawia się śpiewaniem pieśni...

Weszli do gaju, i po chwili znaleźli się na obszernej polanie, na której aż rojno było od młodzieży płci obojga, w różnobarwne szaty przyodzianej...

Jak olbrzymi bukiet kwiatów wyglądali wszyscy, zwłaszcza, że każdy i każda trzymali w ręku pęki różnorodnego kwiecia, także wieńce wieńczyły ich czoła.

Potężnym okrzykiem radości powitano przybyłych... Wnet przybliżyli się do nich gęślarze, siwobrodzi starcy, z gęslami przewieszonymi przez ramiona, i odbierać poczęli dary, przeznaczone dla miłosiernej bogini...

— Wybór... wybór... rozległy się wołania...

I wnet chłopcy z pośród zgromadzonych dziewcząt wybierać zaczęli i najpiękniejsze i naj-

lepsze, by zająć się mogły przyozdobieniem posągu bogini...

Śmiechu i gwaru było przytem co niemiarą, choć również i niejedno zawistne spojrzenie pobiegło w stronę wybranek, zwłaszcza z oczu starszych i brzydszych współzawodniczek.

Lecz te małe nieporozumienia w krótkim czasie potężną swą falą okryły radość i wesele.

Ukończono wybór. Wybranki wystąpiły naprzód, a przewodnictwo nad nimi objęła jednogłośnie wybrana ku temu Luda.

Zadźwięczały gęśle, rozbrzmiała pieśń uroczysta na cześć bogini Łady, i wybranki przystąpiły do wieńczenia posągu bogini kwieciem, przyniesionem z sobą.

Prześcigały się w tem... Wieńczyły jego głowę, szyję, oplatały ręce i cały posąg obwieszały pnączami leśnymi, wonnem i barwnem kwieciem, przetykając przytem wszystko bukiecikami drobniejszych kwiatów...

Skończono wreszcie wieńczenie posągu... Wyglądał on jak jeden wielki przepiękny bukiet kwiecia, precudnie odbijający na świeżej zieleni drzew.

Zasłano na ostatek ziemię dookoła posągu mchem, gałązkami kwitnącej czeremchy i różnem innem kwieciem, tak że się utworzył wokół niego przepiękny, barwny kobierzec..

Odstąpiły wtedy wybranki... Połączyły się ze wszystkimi, i dobrawszy się w pary, zataczyły koło wokół posągu i zawiodły potężny hymn na cześć bogini...

Każda z dziewcząt wybierała sobie młodzieńca, lubego sercu jej, miłego... Luda, widząc osamotnienie Mściwoja, podeszła do niego i ofiarowała mu wiązanek kwiecica, na znak, iż jego to właśnie wybiera sobie na towarzysza przy zabawach dnia tego...

Zmieszało to Mściwoja, zwłaszcza, że spostrzegł parę pełnych niezadowolenia spojrzeń młodzieży, otaczającej Ludę...

Spojrzał na Sambora, jakby u niego szukając rady i pomocy, lecz ten skinął tylko głową, i rzekł krótko:

— Idź!...

Podał więc rękę Ludzie i zajął wraz z nią miejsce w kole młodzieży...

Zaczęto śpiewać hymn, opiewający piękność wiosny, czar bogini, cały jej urok, a każdą zwrotkę zakończano okrzykiem:

— Oj Łado... Łado...

I tańczono przytem radośnie, i cieszone się z całego serca budzącemu się życiu, wiosnie, przecudnej królewnie wiosnie...

Mściwój, porwany pięknnością i czarem tych igraszek, rozchmurzył oblicze, i razem ze wszystkimi hołdy składał bogini Ładzie...

Hymn następował za hymnem, taniec za tańcem, a radość ogólna towarzyszyła tym zabawom...

I trwało tak aż do zmierzchu, poczem dziewice i młodzieńcy, ująwszy się pod ręce, parami, ze śpiewem pełnego radości i wesela hymnu, skierowali się w stronę grodu Mszczuja, gdzie już czekała na nich gościnnie przygotowana wieczerza...

---

#### IV.

### WICI.

---

Zapłonęły mnogie ogniska na podwórku Mszczujowego grodu...

Obsiedli je kołem starcy z okolicznych grodów i siół przybyli, i słuchając rzewnych dźwięków gęśli, gwarzyli zcicha o różnych sprawach, blizkich ich sercu, obchodzących ich gorąco.

Słuchano też z zajęciem opowieści starego, siwego jak gołąb, z długą po pas brodą, gęślarczy, który o dawnych prawach czasach, o dniach, kiedy bogi na ziemi żyli, i ludźmi się opiekowali...

Młodzi, zgrupowani razem, zabawiali się śpiewaniem pieśni, tańcami, oraz opowieściami przygód myśliwskich...

Bohaterką główną tych opowieści była Luda, którą podziwiano i chwalono jednogłośnie za jej męstwo, okazane przy zabiciu żubra.

Nie mniejszy ruch i gwar panowały przy

wielkich ogniskach, na których pieczono olbrzymiego żubra, — zdobycz Ludy, całe jelenie, łosie, dziki...

Wśród zebranych starców gęsto krążyły dziewczęta, dolewając im coraz do pełna wielkie puhary z miodem i piwem...

Zewsząd dobiegały odgłosy radości i wesela, odgłosy bujnego, kipiącego życia, zbudzonego przez tą cudną noc majową...

Wyiskrzone gwiazdami niebo, z wielką tarczą księżyca, patrzyło pobłażliwie na te pełne radości zabawy ludzi, mruganiem gwiazd jakby biorąc udział w tej uroczystości.

Zdaleka dobiegał głuchy poszum puszczy, jakby groźny pomruk, a z niego wrywał się czasami donośny ryk żubra, lub też ponure wycie wilków...

Z pobliskiego gaju dobiegał przecudny śpiew słowika... trele jego rozbrzmiewały daleko, biegły hen, w dal, budząc w sercach dziwne, nader miłe i drogie uczucia...

To też pod wpływem czaru tej cudnej nocy cichły powoli wszelkie hałaśliwe zabawy, milki śpiewy i śmiechy, wszyscy w jakimś dziwnie uroczystem skupieniu przysłuchiwali się przecudnej pieśni, oraz odgłosom, płynącym z puszczy...

Nawet i na starców siwowłosych noc ta swój urok wywarła...

Przestali gwarzyć, i wsparłszy brody na dłoniach, pociągając tylko od czasu do czasu upajający trunek, wsłuchiwali się w dalekie pogwary puszczy.

A tylko czasami, gdy rozległo się porykiwanie żubra, lub bek łosi, podnosili głowy, i jakby ożywieni wspomnieniami swych przygód łowieckich, mówili cicho:

— To stary pojedynek... można by go podejść... o świtaniu, na ścieżce, wiodącej do wodopoju... A teraz to młodzież idzie...

I tak gwarzyli zcicha, jakby nie chcąc płoszyć głośną rozmową czaru i uroków nocy...

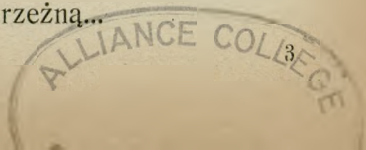
Czas płynął...

Rozpoczęto ucztę... Pojawiły się misy pełne piezzonego mięsiwa, gęsto krążyły puchary, pełne miodu i piwa...

Zabrzmiały znów pieśni, tym razem wesołe, hulaszczce. Tym razem już nie tylko młodzież śpiewała je, ale i mężowie dojrzaali i starcy siwowłosi, radowali się i cieszyli tej nocy wiosennej, przecudnej, urocznej.

Gęślarze coraz żwawiej przebierali po strunach swych gęśli, zachęcając tem wszystkich do wesela, do zabawy.

Hen, daleko, echa leśne odbijały odgłosy tych pieśni, tego grania... biegły one potem w dal, bezkresną, bezbrzeżną...



Coraz też gęściej krążyły rogi z miodem, kruże z piwem...

Gościnnie Mszczuj nie żałował niczego gościom swoim. Na ścieżaj kazał otworzyć piwnice i lochy, w których zapasy miodu i piwa przechowywał, i raczył nimi gości, i częstował, i do picia zapraszał.

Gościnność ta niejednemu z gości uderzyła do głowy, i ci, oszołomieni trunkiem, kładli się na ławach, i nie zważając na gwar i hałas, zasypiali snem sprawiedliwych.

Koło jednego z ognisk znów otoczono wieńcem Mściwoja, i pomimo że trudno mu było wyrażać się w mowie lechickiej, pomimo że plątał do niej wiele wyrazów niemieckich i włoskich, z zajęciem słuchano opowieści jego o dalekich krajach zagórskich, o krajach, o których tylko głuche legendy wśród ludu krążyły.

Słuchali go i starzy, i młodzi, niewiasty i mężowie... Słuchano opowieści jego o obyczajach i wierzeniach ludów germańskich, o ich uzbrojeniach i sposobach walki... słuchano... gdy prawił im o tych Niemych, których instynktownie nienawidzili, w których czuli największych wrogów swoich... Wszakżeż nieraz już mierzyli się z nimi na polu walki, a ileż razy jeszcze przyjdzie im stanąć naprzeciwko siebie, oko w oko, uderzyć piersią o pierś, w walce o panowanie nad tą ziemią?... Chciwie



więc słuchali tych opowieści, starając się wyciągnąć z nich dla siebie jaknajwięcej korzyści...

Coraz też więcej zyskiwał w ich oczach Mściwój, ten wędrowiec bezrodny... Syn knezia, jak mówił, lecz który nie wiedział i nie mógł wskazać, jakim grodem władnie rodzic jego... Wszakżeż znał on dobrze sposoby walki Niemych, znał dobrze ich podstępny, i mógł ich nauczyć...

Pierwszy też Włast dał wyraz temu, kładąc mu dłoń na ramię i mówiąc:

— Mściwoju... Naucz mnie sposobów walki Niemych... Wyjaw mi je, ażebym, gdy przyjdzie do starcia z nimi, mógł godnie stanąć przeciw nim...

— I mnie... i mnie... i mnie... chórem za Włastem powtarzali młodzieńcy, otaczający ognisko...

— I mnie, — śmiałym głosem rzuciła Luda, — niech i ja zdobędę tą sztukę, by móżd odeprzeć napaść Niemych?...

— Dobrze, — rzekł ze śmiechem Mściwój: od jutra możemy rozpocząć naukę, lecz czyż starczy nam broni? czyż posiadacie miecze i tarcze, i zbroje takie, jak Niemi?...

— Posiadamy... posiadamy... zaopatrzyli nas w nie kupcy, z dalekich krain, z zachodu, dążący na wschód...

Drwiący uśmiech przy tych rozprawach wykrzywił usta brata starszego Ludy, Tomira, który przez cały czas w milczeniu im się przysłuchiwał.

Olbrzym to był prawdziwy. Wysoki, pleczysty, o długiej jasnej czuprynie i zaroście, łagodnie patrzył na świat błękitnymi oczyma. Myśliwiec zawołany, w pojedynkę chodził na najsroźsze zwierzęta w boru, nie mając innej broni nad maczugę dębową, gęsto krzemieniami nabijaną. Poza nią żadnej nie uznawał broni, choć i tak częstokroć dusił w swych objęciach olbrzymie niedźwiedzie w puszczy.

Pomimo potężnej swej siły łagodny był i dobry niesłychanie, tak że nigdy słabszej istocie krzywdy nie uczynił, choć z dziwną zaciętością tępił szkodników i drapieżników.

I teraz też siedział wsparty na swej nieodstępnej maczudze, i roześmiewszy się, rzekł:

— Radbym był wielce zmierzyć te bronie marnych Niemych z moją maczugą... Wy-myślne są one i z żelaza i bronzu kowane, lecz pewien jestem, że nie oparły by się one razem mej pałki... Na nic by się też wam nie zdała cała sztuka walczenia, od Niemych przywieziona i wyuczona... Dajcie mi ich choćby ze dwa dziesiątki, w najlepsze zbroje przyodzianych, a ja ich wszystkich maczugą moją pokonam...

Głośne śmiechy wybuchły wśród zebranych, gdy posłyszano te słowa olbrzyma...

— Dobre robisz porównanie, Tomirze, — zawołał Semko, brat jego cioteczny — toż by zupełnie było, jakby żubr srogi stanął naprzeciwko stada łani płochliwych...

— A i żubra pokonać może lotna strzała, umiejętnie z cięciwy łuku rzucona, — rzucił jeden z młodzieży.

— Lecz atakowi żubra nie może się obronić krótki mieczyk Niemych, — odparł Tomir, lecz umilkł zaraz, widząc łunę wstydu, zalewającą oblicze Mściwoja...

Poczuł, że zranił go dotkliwie, chcąc więc naprawić złe wyrządzone, dodał:

— Mniejsza o to... I miecz Niemych może być dobrą bronią, gdy w odpowiednich znajdzie się rękach. Ja tam wolę moją maczugę, choć, przyznam się, że chętnie wezmę udział w waszych ćwiczeniach... Ot, zamiast się spierać, chodźmy lepiej posłuchać starego Radona... Prawi on precudne opowieści o bogach naszych... Warto, by i gość nasz posłuchał ich, gdyż Niemi napewno takich powieści nie mają...

Wstał od ogniska, a w ślad za nim poszła cała młodzież, i z śmiechem i gwarem udali się w stronę stosu, gdzie zasiadali starsi, kniecie i gęślarze, zcicha gwarzący o przeszłość...

— Dziadu Radonie, — zawołała Luda, podbiegając do jednego z gęślarzy — opowiedz nam baśń jaką...

— Opowiedz... opowiedz... chórem przywtórzili jej wszyscy zebrani.

Stary Radon podniósł do góry swą łysą już głowę, z długą, po pas prawie, siwą jak mleko brodą, i mocnym, pomimo wiek sędziwy, głosem, rzekł:

— Opowiedzieć wam baśń jaką?... Nie wiem, czy łaskawy bóg Baj sprzyjać mi będzie... Ha, spróbuję, — zakończył, gdy nalegające głosy ozwały się wokoło...

Na chwilę jedną zapatrzył się w płomień ogniska, poczem uderzył w struny gęśli, i dźwięcznym, melodyjnym głosem mówić zaczął:

— Przecudna, jak zorza poranna była boginka Nija, córka bogini Żyweny. Oprócz urody i dobrą była ona bezgranicznie, starała się też robić wszystkim dobrze, wstawiała się za różnymi stworzeniami do macierzy swojej, i do innych bogów...

Wesoło i bez troski schodził czas bogince Niji, na zabawach i igraszkach. Najmilszym zajęciem jej było paszenie przepięknego pawia, wielkiego jej ulubieńca...

Dnia pewnego pasła go na łące, na brzegu rzeki... Przecudne kwiecie zarastało wybrzeże,

różnemi barwy zdobiąc zielen łąki. Zrywać je poczęła Nija na wieńce, dla siebie i dla rówieśniczek, i tak ją pochłoneła ta zabawa, że nie spostrzegła nawet, jak paw, widząc, że nie jest pilnowany, pobiegł w stronę rzeki.

Zauważyła to wreszcie, i bosa, czempredziej puściła się w pościg za nim.

Zajęta pogonią, przejęta obawą, by ulubieńcowi co złego się nie stało, nie zwracała uwagi na to, co działo się na środku rzeki.

A działy się tam rzeczy straszliwe, przerażające...

Przejeżdżający po dnie rzeki w rydwanie swym ognistym potężny i straszliwy Piekłos, posłyszał rozpaczliwe wołanie dziewczeczki i zapragnął ją ujrzeć...

I oto rozwarły się fale rzeki i wychylił się z nich straszliwy wóz Piekłosa... Ogarniały go ze wszystkich stron płomienie, lecz nie paliły go... Woda w rzece kłębiła się i otaczała go obłokami białymi... Otaczały one siedzenie króla państwa podziemnego, ale płomieni ugasić nie mogły.

Płoneły ogniem przepastne oczy straszliwego boga, gdy ujrzał przed sobą przecudne dziewczę... Zapragnął mieć je, zapragnął pojąć je za żonę...

Stanęła boginka Nija w miejscu jak wryta.

i ani kroku naprzód postąpić nie mogła z przerażenia...

I nie dziwota...

Gorejące pragnieniem oblicze Piekłosa strasznie było, i nie tylko śmiertelnych ludzi, ale i bogów przejmowało lękiem, a przytem ta walka wody z ogniem, ta walka, w której nikt zwycięzcą nie był...

Wyrzekła się więc boginka z przerażenia nadmiernego pawia umiłowanego, wyrzekła się pościgu za nim, i nie śmiąc ruszyć się z miejsca, stała nieruchoma, precudna, jak posąg...

A bóg Piekła nie mógł ani na chwilę oderwać oczu od wdzięcznej jej postaci...

Wreszcie przemówił...

A głos jego podobien był do gromu, tak że wszystko wokoło zatrzęsło się z przerażenia...

I rzekł on:

— Cudno boginko... Znijdź w głębie rzeki... do państwa mego podziemnego... Zostań mą żoną, a władza i potęga twoja niezmierzone będą...

Zamarło serce z przerażenia w piersi boginki Niji. Ona miałaby zostać żoną tego straszliwego, potwornego boga, o którym tylko z opowieści matki i innych boginek słyszała... Ona miałaby się zamknąć w ciemnościach państwa podziemnego, wyrzec się jasnego słońca, światła dziennego, zielonych pól,

igraszek z towarzyszkami?... Na myśl o tem dreszcz trwogi ją przeszedł i przerażenie odbiło się na jej twarzy.

Spostrzegł to bóg Piekłos i gniewem srogim zapłonął... Musi ją posiąść, musi, za wszelką cenę... Nie namyślając się ani chwili skierował rydwan swój w stronę dziewczki, i nim opamiętać się zdołała, nim o pomoc zawołała, porwał ją swemi rękoma potężnemi i wraz z nią w głębinach rzeki się zanurzył...

Gorzko płakała biedna boginka Nija, znalazłszy się w straszliwym podziemnym państwie Piekłosa... Próżno go błagała i zaklinała, by wrócił jej wolność, by pozwolił jej powrócić do matki...

Lecz Piekłos był nieubłagany...

— Zdobyłem cię, — odpowiadał na wszystkie jej prośby i błagania, musisz tu już ze mną na zawsze pozostać...

— Ale ja tak pragnę matkę zobaczyć, tak pragnę być z nią choć chwil parę! — błagała Nija.

Zastanowił się na chwilę Piekłos... Wzruszyło się prośbami jej zakamieniałe serce jego.

— A po widzeniu z matką powrócisz tu do mnie? — spytał.

— Powrócę, — odrzekła Nija, a serce jej zabiło radośnie na myśl, że może wysłuchał jej błagań, że może uczyni zadość jej prośbie

gorącej, i pozwoli choć na krótko powrócić na ziemię, do matki ukochanej...

A Piekłos, wydobywszy z kryjówki zielone jajko, przeciął je na pół, i podając połowę Niji, rzekł:

— Zjedz, lecz odtąd pamiętaj, że pół roku spędzać będziesz ze mną, w państwie mem podziemnem, a pół roku na powierzchni ziemi u matki swej...

Zjadła Nija połowę zielonego jajka, i od czasu tego, co rok, na wiosnę, wychodzi z głębin podziemnego państwa...

I wtedy radość taka przejmuję wszystko na ziemi, pod stopami jej zielenią się niwy i łąny, drzewa wypuszczają pąki, okrywają się świeżymi listkami. Radość tą świętują nie tylko rośliny, ale i ludzie, i zwierzęta, i ptaszki...

Pół roku spędza bogini Nija na ziemi, darząc szczęściem i radością wszystkich, lecz oto przychodzi czas powrotu jej do podziemnego państwa Piekłosa. Ogarnia wtedy wszystkich i wszystko smutek i żal, kirem okrywa się wszystko. Drzewa tracą zieloność swoją, łąny i niwy świecą suchymi ścierniskami... Jesień i zima obejmują ziemię w swe posiadanie, bogini Nija wróciła do państwa podziemnego...

Skończył Radon opowieść swoją... Uderzył jeszcze parę akordów na gęśli i cisza, cisza zapanowała wokoło.



Wszyscy byli pod wrażeniem opowieści. Nikt też przy gawędzie, śpiewach i igraszkach nie spostrzegł, że na wschodzie niebo coraz więcej różowe przybierać zaczęło barwy, że mrok nocy rozpraszał się coraz bardziej, aż wreszcie wypłynęła potężna, promienna tarcza słoneczna...

— Czas już na spoczynek, — rzekł stary Mszczuj, pierwszy podnosząc się z miejsca, i przeciągając stare kości, — bywajcie zdrowi, mili goście, i przyjmijcie dziękczynienie za nawiedziny... Niech bogowie mają was w opiece swojej...

Pokłonem niskim żegnali domownicy i goście odchodzącego na spoczynek knezia...

Za przykładem jego poszli już i inni starcy, kmiecie i gęślarze, gdy naraz Radon sędziwy, który, mimo wiek swój, posiadał wzrok najbystrzejszy, zawołał:

— Patrzcie... patrzcie... kto pędzi tu ku nam od boru...

Spojrzeli wszyscy w tamtą stronę, i rzeczywiście ujrzeli postać ludzką, pędzącą konno ścieżyną, wijącą się jak wąż, wśród łąnów zboża...

Wstrzymali się wszyscy, czekając niecierpliwie, co za wieść im nieść może ów goniec tajemniczy.

Zbliżał się, zbliżał się coraz bardziej, aż

wreszcie wpadł na podwórzec, i kierując się prosto do Mszczuja, ledwie dysząc, zeskoczył ze spienionego rumaka, i podał mu laskę nie wielką, zakończoną węzłowatemi korzeniami, i z trudem wyrzekł:

— Od arcykapłana potężnego Światowida... z wyspy Rugji... na święto boga... wszyscy kneziowie... zebrać się mają... wiec... wiec olbrzymi...

Z uwagą wysłuchał Mszczuj słów jego, potem spytał:

— O czym radzić będziemy?...

— Szykuje się bój... wielki... śmiertelny bój... z Niemymi... którzy coraz dalej zapuszczają się...

Chwilę trwało milczenie. Mszczuj wodził oczyma po wnukach swoich, jakby dokonywując wśród nich wyboru, wreszcie wzrok zatrzymał na najściglejszym z nich, Homirze, podał mu laskę, i rzekł krótko:

— Słyszałeś... pędź...

Porwał laskę Homir i wybrawszy rumaka ze stadniny pomknął z nią dalej, do następnego grodu niosąc wieść o wezwaniu arcykapłana Światowida, a Mszczuj wtedy dopiero jakby przypomniał sobie przybysza.

— Miodu!... — zawołał — przygotować posiłek, — i pomagając mu, przeprowadził go do ławy, na której usadowił go wygodnie.

Wnet znalazł się na stole posiłek, znalazł się i róg pełen miodu.

Przyjmowano gońca jak drogiego gościa. Znali go wszyscy dobrze, gdyż był on wnukiem knezia sąsiedniego grodu.

Radowano się nie tylko z wieści o szykującej się walce z wrogiem odwiecznym, radowano się i temu, że na czele mających iść do boju zastępów słowiańskich staje arcykapłan Światowida, czczonego przez wszystkie ludy słowiańskie.

Wici wyszły od niego i szerokim kolistym biegiem po wszystkich ziemiach słowiańskich, od grodu do grodu, od sioła do sioła, wzywając wszystkich kneziów na wiec olbrzymi, na którym ważne zapaść miały uchwały.

Po całej Słowiańszczyźnie już biegnie potężna wieść, że szykuje się wyprawa wojenna przeciwko nieprzejednanemu wrogowi, przeciwko Niemym, którzy wszelkimi sposobami dążą do zawładnięcia posiadłościami słowian, którzy nie cofają się przed najstraszniejszą zbrodnią, byle tylko ziemie ich zagarnąć, a ich samych w niewolników swoich obrócić...

I tyle nienawiści nagromadzonej przeciwko Niemym było w piersiach słowiańskich, że mimowoli pięści zaciskały się, oczy płonęły, a usta miotały najsrozsze przekleństwa i wyzwiska,

Zapał wojenny mężczyzn udzielił się i niewiastom... Luda przytuliła się do dziada, i całując dłoń jego, mówiła:

— Dziadu... ja pójdę z wami... I ja uniosę oszczep i miecz, a i z łuku strzelam niezgorzej od męża...

— Do kądzieli... do kądzieli... — żartobliwie odsyłał ją Mszczuj, a zwracając się do młodzieży męskiej, rzekł:

— Nadchodzi czas wojny... Okażecie teraz swe męstwo i siłę... Pomniście na to, że Niemi Lechitów zmóźdz nie mogą...

A Mściwój?...

Stał on nieruchomy, ze wzrokiem w dal utkwionym... Piersь rozsadzała mu radość, że nadszedł czas walki, że zbliżyła się chwila pomsty...

Miał też on co mścić na Niemych...

Za tyloletnią niewolę...

Za oderwanie od rodziców...

Za to, iż jest sierotą bezrodnym...

Za kneziowską władzę swoją, której go Niemi pozbawili...

Och, za krzywd tyle straszną musi być pomsta...

Zacisnął pięści i zwrócił się do Mszczuja.

— Kneziu, — rzekł — i ja z wami na Rugię pojedę.

A gdy ten spojrział na niego pytająco, dodał:

— Jam świadom sposobów walki Niemych i ich podstępów... Chcę odkryć je wam... zdadzą się one z wrogiem, który tylko podstępem i zdradą walczy.

A Mszczuj stary odrzekł mu:

— Pojedziesz z nami... Będą tam kneziowie ze wszystkich ziem słowiańskich... Łacno może rodzica wśród nich odnajdziesz.

Słońce wzeszło już wysoko, zalewając wszystko złotymi promieniami swemi, a oni gwarzyli wciąż o przyszłym boju z Niemymi, nie myśląc wcale o spoczynku.

---

## POD ŚWIĘTYM DRZEWEM.

Rozszalała się burza nad światem...

Przepotęźna w swej grozie burza, jakiej najstarsi nawet ludzie nie pamiętali...

Grozę jej potęgują jeszcze nieprzeniknione mroki nocy...

Błyskawica za błyskawicą coraz przedzie-  
ra ciemną oponę chmur, bładem, sinawem  
światłem oblewając wszystko dokoła...

Zygzaki piorunu raz za razem przecinają  
niebiosa, a w ślad za nimi biegnie złowrogi,  
straszliwy, ogłuszający trzask...

Huk gromu, podobny do groźnego pomru-  
ku jakichś straszliwych, bajecznych bestyi —  
nie ustaje ani na chwilę...

Zda się, że piekło całe runęło na ziemię,  
i wyprawia na niej harce swe i orgie...

A przytem wichur, szalony, niczem nie  
powstrzymany, dmie bez przerwy z jakąś sza-

loną zaciętością, dmie, niszcząc i łamiąc wszystko wokoło, wrywając z korzeniami drzewa, a potężniejsze gnąc jak trzciny, szarpiąc i miotając niemi na wszystkie strony.

Deszcz, lejący wprost strumieniami, zaptapiający wszystko, potęguje jeszcze uczucie grozy, wywołane tą straszliwą burzą letnią...

Biada tym, co w noc tą znaleźli się w drodze... biada im zwłaszcza, o ile nie znaleźli dachu, który by im schronienie dać mógł, choć i to nie zawsze bezpiecznem było...

Szalony powiew wichru nie tylko, że znosi dachy, ale porywa nawet i chaty całe... Oszczędzają tylko domostwa z potężnych bierwion zbudowane, urągające mu mocą swoją, opierające się zajadłym atakom jego...

Wywierał też na nich wściekłość swoją, uderzał na nie ze zdwojoną siłą, lecz, niestety, ustępować musiał pokonany...

Gniew swój zwracał wtedy ku innym, potęgując siłę swą, a gdy mocy jego uległa przeszkoda, jakby z piekielnym chichotem biegł dalej, by znów z czem innem walkę stoczyć.

W noc tą straszliwą nie brakło podróżnych, których burza w drodze zaskoczyła, a którzy nie zdążyli czy nie zdołali znaleźć schronienia.

Oto np., blade płomienie błyskawic oświetliły na mgnienie oka gromadę ludzi, skupio-

nych razem, tulących się do konojów olbrzymiego dębu, jakby wśród nich szukających schronienia.

Szaty ich przemokły od deszczu do nitki, wiatr rozwiewa ich włos długi, na obliczach ich jednak nie znać trwogi.

Nie lękają się oni tej burzy straszliwej, nie obawiają się śmierci, która każdej chwili zda się im grozić, — wyteżonym wzrokiem tylko wpatrują się w dal, — oczekując rychło li koniec tej strasznej orgji nastąpi.

Oblicza starszych mężów pełne są powagi i spokoju, młodszych znów tchną jakąś pełną zaciętości odwagą, zda się, że gotowi są stanąć do walki nawet z temi rozszalałemi żywiołami.

Burza musiała zaskoczyć ich znienacka... Znać to i po bezładzie w odzieży, znać to i po wielu przedmiotach, rozrzuconych wokoło...

Oreź tylko trzymają w ręku, jakby gotowi byli każdej chwili uderzyć na niewidzianego a tajemniczego przeciwnika.

Silnemi dłońmi powstrzymują rwące się i szarpiące rumaki, jakby oszalałe pod wpływem przerażenia i lęku... I na nie burza straszliwa, gromy i błyskawice wpływ swój wywarły.

Milczenie panuje wśród nich, śledzą tylko



przebieg burzy, miarkując z jej natężenia, czy zbliża się już ona ku końcowi.

— Bóg Pogwizd uspakając już zaczyna swój gniew, — rzekł wreszcie jeden ze starców: a i Perkunas mniej groźnie miota swe pociski... Za chwilę uspokoi się burza, mroki nocy rozproszą się i z poza chmur wyjrzy na nas łaskawe oko Światowida...

— Dzięki potężnemu Światyborowi pozostaliśmy przy życiu, — ozwał się drugi starzec — a w puszczy nie było o to trudno... O, słyszycie jeszcze... choć nacisk burzy się zmniejszył, Pogwizd jeszcze drzewa tam z konarami wyrzywa, konary i gałęzie całe łamie...

— Oj, będą po dzisiejszej nocy popsute zupełnie drogi w puszczy, — dorzucił znów jeden z młodych.

— A ile zwierzyny padnie, przywalonej ciężarem walących się drzew... Hej, i boginka Dziewonia nie uchroni ich od zagłady.

— A ja już wczoraj z wieczora czułem, że będzie burza, — ozwał się znów pierwszy starzec — już od południa ostrzegała mnie o niej Haiłka.

— Ostrzegała ona i nas, — odrzekli mu wszyscy — ale nikt nie mógł przewidzieć, że burza tak straszną będzie.

— Hej, a jak straszliwą musiała być ona na morzu... Biada tym, co z łodziami swemi

nie zdążyli przybyć do wybrzeża... Pochłoneły ich fale morskie, porwali ich bogowie morscy do swych krain podwodnych.

— A gród nasz? — po chwilowem milczeniu rzekł jeden ze starców, przewyższający innych majestatem i powagą, — czy oparł się on tym potężnym podmuchom Pogwizda?... czy nie runęły domy i budynki w nim?... czy zdołały się oprzeć potędze jego?...

— Bądź spokojny, Mszczuju, — odrzekł mu drugi starzec, — ze zbyt potężnych bierwion budowany jest cały gród twój, by się nie mógł oprzeć podmuchom Pogwizda... Nie jedną on już przetrwał burzę, przetrzymał też i tą, przetrzyma jeszcze dziesiątki innych...

— A choćby nawet, — rzekł Mszczuj, jakby w proroczem uniesieniu — wichur zmiotł chaty z powierzchni ziemi, zburzył je i rozwalił, zrab zostanie, a na zrębie tym przyszłe pokolenia wzniosą budynki większe, okazalsze i mocniejsze... I odrodzi się gród, i będzie jeszcze większym i potężniejszym.

Nikt nie odezwał się ani słowem po tem przemówieniu starego knezia.

A tymczasem rozpętanie żywiołów zdawało się ścichać, zmniejszać. Błyskawice i pioruny nie rozjaśniały już swem światłem tak często ciemności nocnych, huk gromu nie był już tak donośny i groźny... Ścichła i wichura

trochę, nie było już słycać przeraźliwego jej wycia, trzasku łamanych drzew i piekielnego chichotu jakiegoś, który takim przerażeniem wszystkich przejmował... Deszcz tylko lał bez przerwy, lał, nie zmniejszając się ani na chwilę...

Nareszcie na wschodzie niebo rozjaśniać się poczęło... Mroki nocy ustępować zaczęły przed światłem dnia, a szary, blady świt pozwolił podróżnym zorientować się co do miejsca, w którym się znajdowali.

Patrzyli też pełnemi zdumienia oczyma na straszliwy obraz spustoszenia, jakie poczyniła burza, a jaki się przed oczami ich roztaczał.

— Wszechmocne bogi, — zawołał naraz stary gęślarz Radon, chwytając za ramię kniezia Mszczuja, — uchodźmy ztąd czemprędzej... uchodźmy... nie mieszkając ani chwili...

— Dlaczego?... dlaczego?... — posypały się pytania.

— Święty dąb, — odrzekł z przerażeniem i czią nabożną Radon, — święty dąb Pomorzanie... Gdyby spostrzegli, że pod konarami jego szukaliśmy schronienia — biada nam... Śmierć nas pewna czeka...

Pełne lęku słowa jego nie wywarły na wszystkich nadzwyczajnego wrażenia.

— A toż i my oręż w ręku mamy, — zawołał, zuchowato potrząsając oszczepem Włast, —

toż i my nie będziemy stać bezczynnie. Siłę siłą odeprzemy.

— A i ja maczugą swoją, — dorzucił Tomir — potrafię drogę utorować.

I zamierzali pozostać na miejscu, nie spiesząc się zbytnio z wyruszeniem w dalszą drogę, gdy Mszczuj rzekł:

— Nierozważna i nierozumna młodość przemawia przez usta wasze... Nie drażnić Pomorzan, a żyć z nimi w zgodzie nakazuje nam rozum... Pomnijmy o tem, że na Rugię zawezwał nas arcykapłan celem narady nad wielkiej wagi sprawami... być może, że stoimy w przededniu walki z Niemymi, śmiertelnej walki, w której każdy sprzymierzeniec jest cenny... A przytem, pomnijcie i o tem, że Pomorzanie napaść na nas mogą potężną masą, że zgniotą nas ilością, i że ani oręż nasz, ani siła nic nie poradzą... Posłuchajmy raczej rozumnej i przezornej rady Radona i uchodźmy ztąd... uchodźmy czempredzej...

Posłuszni byli głosowi sędziwego knezia wnuki, i zarzuciwszy broń na ramię, dosiedli spokojnych już rumaków i czempredzej uchodzić od świętego dębu poczęli.

Dzień już się zaczął na dobre. Słońce weszło i złotemi promieniami swemi oblało ślady straszliwej nocnej burzy.

Spustoszenie było straszliwe. Potężne ol-

brzemy puszczy leżały powalone pokotem, tamując przejścia, zawalając drogi.

A z pod gałęzi ich, liściem zielonem okrytych, widać było gdzieniegdzie sterczące ku niebu rozłożyste rogi jelenie lub łosie, od czasu do czasu rozlegał się rozpaczliwy, pełen bólu ryk nieszczęsnego zwierzęcia, któremu potężny pień drzewa przełamał krzyż.

Gromada podróżnych naszych uchodziła możebnie spiesznie, pomimo przeszkód, jakie napotykali na drodze. Konie z trudem omijały je, i dążyły wciąż naprzód, byle tylko wyjść z obrębu świętego gaju.

Naraz z ust milczącego dotychczas Mściwoja wyrwał się okrzyk pełen zgrozy:

— O!... o!... patrzcie!... — zawołał.

I wyciągniętym palcem wskazywał leżące na drodze, przywalone potężnym pniem brzozy zwłoki ludzkie.

Był to Pomorzanin, jak to wskazywał strój jego. Wracał widocznie z łowów i noc go zaskoczyła w boru, a potem i burza. Leżał teraz na drodze, z głową zmiażdżoną potężnym uderzeniem konaru drzewa, a tuż obok niego leżała upolowana przezeń zwierzyna.

— Takiż sam los spotkałby i nas, — rzekł z naciskiem Mszczuj — gdybyśmy nie znaleźli schronienia pod świętym dębem.

— Bogowie świętego gaju opiekowali się

nami i nie dopuścili, by stała się nam krzywda, — z namaszczaniem rzekł Radon.

— Znaczny jednak musiał to być człowiek wśród swoich, — po długim przypatrywaniu się zwłokom, zauważył Sambor, — widać to i z odzieży, i z oręża.

— Tak... i pewnem jest, że wkrótce nakniemy się na drużynę jego, poszukującą wodza.

— Uchodźmy więc... uchodźmy czempredzej, — zawołał Radon, — jeszcześmy nie wyszli z obrębu świętego gaju. Spotkanie teraz Pomorzan, nie wróży nam nic dobrego.

Uwagi starego Radona okazały się zupełnie słusznymi. Zaledwie przebyli parę stajañ, z zarosli leśnych wyłoniła się gromada ludzi zbrojnych.

Na widok naszych podróżnych, groźnie potrząsać zaczęli orężem, wreszcie jeden z nich, widocznie przywódca, wysunął się naprzód i spytał:

— Coście za jedni, i co robicie w tych stronach?

Na pytanie to odpowiedział sędziwy kneź Mszczuj:

— Jam jest kneź Mszczuj z Lechitów krajiny... Podążam tędy do Arkony, na Rugię, na wezwanie arcykapłana przepotężnego Swantewida.

Skłonił się przywódca Mszczujowi, poczem rzekł:

— Gościem jesteś naszym. Z przykazania jednak kneziowego wszystkich podróżnych, napotkanych na ziemiach naszych, prowadzić mam do Szczytna, do księcia, by tam mu sprawę z celu podróży swej zdali.

— A czy władą tą krainą jeszcze kneź Mestwin, czy też syn jego nad nią panuje? — spytał Mszczuj.

— Kneź Mestwin nami rządzi, — odrzekł przywódca.

— A więc wiedźcie nas do niego. Stary to i wypróbowany druch mój... nieraz z nim wspólne na Niemych czyniłem wyprawy... ślubowaliśmy też sobie przyjaźń i pomoc we wszelkich wypadkach.

Skłonił się przywódca Pomorzan, posłyszawszy te słowa i rzekł:

— Darujcie, panie, że tylko część mej drużyny towarzyszyć wam będzie, ja zaś z pozostałymi muszę iść dalej, na poszukiwania.

— Kogo? — spytał kneź Mszczuj.

— Knezia Wracisława, brata knezia Mestwina... Wyszedł on wczora po południu na łowy i odłączył się od towarzyszy swoich. Od czasu tego wszelki słuch o nim zaginął... Kneź Mestwin, srodze tem zmartwiony, obawiając się, że w czasie burzy mogło mu się zdarzyć jakie

nieszczęście, wysłał nas na poszukiwania. I oto od świtu już szukamy go, i nigdzie jakoś znaleźć nie możemy... Snać znalazł grób w tej puszczy...

Zastanowił się przez chwilę kneź Mszczuj, wreszcie rzekł:

— Zwiastunami żałobnej wieści dla was będziemy. Tuż nieopodal, na drodze, leżą zmiążdżone przez potężne drzewo zwłoki męża zbrojnego... Przypuszczam, iż będzie to ciało poszukiwanego przez was księcia Wracisława.

Nie skończył mówić kneź Mszczuj, gdy drużyna Pomorzan pędem skierowała się w stronę, którą im wskazywał ręką.

W chwilę potem głośnie okrzyki i zawożenia wskazały gromadzie Lechitów, że przypuszczenia ich słuszne były, że znalezione zwłoki, były zwłokami księcia Wracisława.

Z należnym szacunkiem podniosła drużyna zwłoki knezia swego, złożyła je na noszach, naprędcie z gałęzi uplecionych, i ulokawszy między dwoma rumakami, w drogę powrotną do Szczecina wyruszyła.

— Pozwólcie, kneziu, — rzekł przywódca Pomorzan, — mimo jednak smutku, jaki na dworze knezia Mestwina zapanował — drogim i miłym będziecie mu gościem...

W chwilę potem cały orszak wyruszył w drogę ku Szczecinowi.



## VI.

### ZDRAJCA.

---

Już po przebyciu niewielkiej stosunkowo przestrzeni, spostrzegli podróżni nasi, że znajdują się w pobliżu dużego i ludnego miasta. Na drodze, wiodącej do niego, spotykali coraz częściej gromady ludzi, to idących w stronę grodu, lub też z niego, wiodących objuczone konie lub też prowadzących wozy z towarami zaprzężone w woły.

Drogę swą z musu odbywali oni powoli, a to z racji popsutej przez burzę drogi.

Znaczna część spotkanych witała pokłonem dowódcę zbrojnych Pomorzan, a dowiedziawszy się od niego, iż wiezie martwe zwłoki knezia Wracisława, głośnym wybuchła lamentem.

Wielu zawracało z drogi i przyłączało się do orszaku, tak że gdy zbliżyli się do wałów Szczecina, wzrósł on do liczby z górą stu osób.

Wiść o znalezieniu zwłok lotem błyskawicy dobiegła do grodu, uprzedzając przybycie drużyny, na spotkanie więc ich wyległa znaczna część miasta, płaczem i lamentem okazując żal po zmarłym kneziu, a zarazem i współczucie swe kneziowi Mestwinowi.

Podróżni nasi, poraz pierwszy oglądający tak wielki gród, jak Szczecin, z podziwem patrzeli na rozściełającą się przed nimi wielką ilość domostw, z potężnych bierwion zbudowanych, a nawet i z kamienia murowanych, na potężne rowy i wały, z palisadą na wierzchu, z strzelnicami, specjalnie do miotania strzał urządzonemi.

Zdumiewała ich wielkość i potęga obronna tego grodu, którym władał ich sprzymierzeniec, towarzysz przyszłych bojów z Niemcami.

— Tego grodu Niemi tak łatwo nie wezmą, — zauważył półgłosem Mszczuj, posłyszał to jednak dowódca Pomorzan i odrzekł:

— Próbowali już nieraz, lecz zawsze z niczem uchodzą, unosząc na grzbietach pamiątki od nas.

Tymczasem minęli most zwodzony i otoczeni tłumem ludzi wjechali w wązkie uliczki miasta. Wiły się one między domostwami, utrudniając w ten sposób nieprzyjacielowi, gdyby mu się udało przebyć wały i rowy, przedo-

stanie się do środka grodu. Każdy z domów przytem tworzył jakby oddzielną twierdzę.

Powoli wydostali się wreszcie na główny rynek, gdzie było mnóstwo kramów z przeróżnemi towarami.

Widać tam było i kupców różnych narodowości, wśród których nie brakło i przybyśzów z dalekiego Wschodu i Południa.

Nie mieli wiele czasu aby przyglądać się tym nieznanym dziwom nasi podróżni. Zaledwie wjechali na rynek, gdy rozległ się krzyk przeraźliwy, zbrojni pachołcy zaczęli tłum rozpychać, i utworzoną w ten sposób drogą nadzedł mąż okazały, niemłody już, który rzuciwszy się na zwłoki knezia Wracisława, głośno swój żal i smutek wyrażać zaczął.

Zatrzymał się orszak cały, z uszanowaniem patrząc na boleść kneziowską...

Uspokoił się po jakimś czasie kneź Mestwin, podniósł głowę i patrząc na dowódcę zbrojnych, rzekł krótko:

— Mów... gdzieś je znalazł, i co jest przyczyną śmierci...

— Miłościwy kneziu, — rzekł z ukłonem przywódca straży, — zgodnie z rozkazem twoim udałem się o świtaniu na poszukiwanie knezia Wracisława. Przebyliśmy już znaczną część puszczy, z trudem torując sobie drogę wśród drzew powalonych przez burzę nocną...

Gdy kilkanaście stajañ dzieliło nas od świętego dębu, napotkałem na drodze tych oto podróżnych... Zgodnie z rozkazem twoim, kneziu miłościwy, poleciłem ich jechać do grodu, a oni... oni wskazali mi miejsce, gdzie leżały zwłoki knezia Wracisława... Zginął zapewne w czasie burzy, gdyż ciało jego przywalone było przez brzozę olbrzymią, jeden z konarów której roztrzaskał głowę knezia...

Umilkł dowódca, a kneź Mestwin, utkwivszy w podróżnych naszych pałające spojrzenie, spytał gromkim głosem:

— Coście zacz za jedni?

— Kneź Mszczuj z Lechji, z drużyną swoją, — odrzekł z powagą sędziwy kneź, — na wezwanie arcykapłana Swantewida dążę na Rugję, na wielki wiec kneziów słowiańskich. Żal nam, że w tak bolesną chwilę dla ciebie, kneziu Mestwinie, nawiedzamy cię, lecz poniewolnymi gośćmi jesteśmy. W wędrówce naszej ominęlibyśmy gród twój, gdyby nie dowódca straży twej, który nam nakazał tu jechać.

Chwilę namyślał się kneź Mestwin, jakby przypominając coś sobie, wreszcie wyciągnął prawicę do knezia Mszczuja i rzekł:

— Przypominam cię sobie. Twój gród nad brzegiem Wisły leży... Pomnę, iż niegdyś razem przeciwko Niemym wojowaliśmy.

Bądź pozdrowion w mym grodzie. Miłym dla mnie jesteś gościem, ty i drużyna twoja.

Po tem przywitaniu orszak cały skierował się w stronę dworca kneziowego.

Wzniesiony był on na podwyższeniu, a wiodły do niego potężne bramy, żelazem mocno okowane. Z kamienia zbudowany był, a niewielkie okna błonami zwierzęcemi pozaciągane były.

Gdy orszak ze zwłokami knezia Wracisława wjechał na podwórze dworzyszczą, wypadła na spotkanie jego, z płaczem i lamentem, gromada niewiast, żon i niewolnic zmarłego. Otoczyły go one kołem i wniosły do komnat jego, podczas gdy kneź Mestwin gości swych wprowadził do swojej części.

— Rozgoście się mili goście, — mówił — bądźcie jak u siebie... I jam miał ruszyć w drogę na Rugję, gdy zgon brata na przeszkodzie mi stanął. Odpocznijcie dni parę. Pogrzebię brata, a wnet potem wraz z wami w drogę wyruszę. A szykuje się tam wielka wyprawa na Niemych, gdyż już porządnie dali się oni braciom naszym we znaki. Ja sam muszę się wciąż mieć na baczności, gdyż zagony ich aż w nasze zapuszczają się strony.

— Do nas jeszcze nie dotarli, — odrzekł mu na to Mszczuj, — zbyt dalekie dzielą ich od nas przestrzenie... a przytem stoją im na

przeszkodzie i puszcze nieprzebyte, i drogi ciężkie... Lecz zwyciężywszy was, łupieżcze hordy Niemych, jak stado wilków, mogą wtargnąć i do nas... wnieść mord i pożogę do naszych grodów... Dla tego stajemy przy waszym boku, by z nimi walczyć, by bronić wraz z wami przed najazdem wrogów ziemię ojczystą...

— Niemi, — ponuro odrzekł mu kneź Me-stwin, — usilnie dążą do tego, by nas pokonać, by ziemię naszą zagarnąć a z nas niewolników swoich poczynić... Dążą do tego wszelkiemi sposobami, i pochlebstwem, i pieniędzmi, a gdy nic poradzić nie mogą, chwytają za oręż i siłą starają się zagarnąć ziemię naszych braci. Toż już nasi bracia nad Łabą dostali się w ich władzę. Saksowie ostatnie, śmiertelne staczają z nimi boje. Walczą z nimi resztkami sił, walczą bez nadziei wygranej, i blizkim jest czas, gdy Niemi zagarną ich ziemię, gdy pobudują na niej swe zamki i przymuszą do wyznawania swej wiary.

Toż nad Łabą bracia nasi muszą się kryć z wiarą bogów swoich po lasach i puszczach, najezdcy Niemi karzą ich ogniem i mieczem. Pokonawszy braci z nad Łaby, zbliżyli się do nas. Zagrażają już nam, zagrażają i Rugji, z świątynią wszechpotężnego Swantewida. Teraz próbują nas zdobyć pochlebstwem i obietni-

cami, a gdy im się to nie uda, wezmą za oręż... A wtedy... wtedy, gdy wy nas nie wesprzecie, gdy nie połączycie sił swoich z naszymi, — biada nam. Zaleją nas, zwyciężą i w niewolników swoich obrócą...

Umilkł kneź Mestwin, a Mszczuj, uściskawszy rękę jego, rzekł:

— Uspokój się, kneziu... Wszyscy Lehici, jak jeden mąż staną przy boku twoim, i jak wspólnego dobra, jak największego skarbu, bronić będą tej ziemi ojczystej...

Uściskiem na uścisk odpowiedział kneź Mestwin. W chwili tej na progu izby ukazał się dworzanin służebny i kłaniając się, rzekł:

— Miłościwy kneziu, na posiłek południowy pozwólcie...

Wstał kneź Mestwin i kłaniając się w pas prawie kneziowi Mszczujowi, rzekł:

— Miłościwy kneziu a gościu mój. Pozwólcie na posiłek, przyjmijcie to, czem chata ma uboga służyć wam może. Gościem moim jesteście, i wszystko, wszystko w domu moim na wasze usługi stoi.

Ruszył kneź Mszczuj, a za nim i drużyna jego cała. Przez zawieszane skórąmi zwierząt drzwi przeszli do sąsiedniej wielkiej izby, w której stały niemieckim obyczajem rozstawione wielkie stoły i ławy.

W jednym z końców izby, na pewnym

wzniesieniu, stał stół oddzielny dla knezia, żony jego i dostojnych gości.

W drugim końcu znów widniało wielkie ognisko, przy którym piekły się olbrzymie ćwierci mięsiwa, ptactwo i zwierzyna.

Tuż pobok służebni knezia Mestwina, szykowali dzbany z pieniącym się piwem i miodem. W izbie zebrani już byli dworzanie knezia i przyboczni. Czekali tylko na przybycie władcy swego i jego gości by zasiąść do stołów, do przygotowanej uczyty.

Oczekiwała również na przybycie knezia i małżonka jego, knezini Ofka, córka jednego z nadłabskich książąt, ujarzmionych obecnie przez Niemych i do uległości i pokory zmuszonych. Za nią stali synowie, pod wąsem już młodzieńcy, krzepcy jak młode dęby, zahartowani snąć w bojach i łowach, za nią stały i córki, nie ustępujące w niczem pod względem krzepkości i hartu braciom swoim.

Kneź Mestwin zajął miejsce u stołu na wzniesieniu, wskazując tuż pobok miejsce kneziowi Mszczujowi.

Na znak ten zaczęli zajmować miejsca i dworzanie Mestwina i drużyna Mszczujowa.

Mściwój, wszedłszy do izby, utkwiał wzrok w niewielkiego wzrostu mężu, o siwej już czuprynie i brodzie, stojącym tuż w pobliżu knehini Ofki. Na twarzy jego odbiło się zdu-



mienie; zdawało się, iż nie wierzy oczom swoim, wreszcie, przysunawszy się bliżej, upewnił się w podejrzeniach swoich i chwytając z całej mocy nieznanego za ramię, wykrzyknął głośno:

— Herman! Ty tu...

Niemłody mąż drgnął, pełen przerażenia wzrok skierował na Mściwoja, i widocznie poznawszy go, wyszeptał poblądłemi z trwogi ustami:

— Arnulf... Arnulf...

A Mściwój, trzymając go wciąż mocną dłońią, wyrwał miecz z pochwy i potrząsając nim przed oczami jego, wołał groźnie:

— Nareszcie, nareszcie mam cię, zdrajco... Teraz mi nie ujdiesz...

Scena ta zwróciła ogólną uwagę. Porwali się wszyscy od stołów i otoczywszy ich zwarciem kołem, rozdzielać poczęli, dopytując o przyczynę zwady...

Chwila była dość groźną, zwłaszcza, że i nazwany przez Mściwoja Hermanem mąż wyciągnął lewą ręką mieczyk i groził nim przeciwnikowi, który mu prawe ramię w żelaznym dzierzył uścisku.

Powaga dopiero kneziów Mestwina i Mszczuja, i ich nakaz głośny wpłynęły na to, że zwolnili swe ręce i opuścili groźnie wzniezione oręż.

— Co się stało? mówcie? Czemżeś zawi-  
nił, Rosławie, wobec tego młodzieńca, że tak  
napadł na ciebie?

— Ja? — odrzekł zapytany, spuszcżając  
oczy ku ziemi, — nie znam go zupełnie, i w ża-  
den sposób nie mogę zrozumieć przyczyny tej  
jego napaści... Udaję się pod twoją opiekę, mi-  
łościwy książe, broń mnie przed nim... to jakiś  
szaleniec...

Słowa te, wymówione pełnym obłudy to-  
nem, w szal dziwny wprowadziły Mściwoja.

— Miłościwi kneziowie, — zawołał — lże  
on... lże każdym słowem, ten lis zdradziecki  
i fałszywy... Wie on dobrze, co ja chcę od  
niego, i sam się z tem zdradził, nazywając mnie  
imieniem Arnulfa... imieniem, które nosiłem bę-  
dąc u Niemych w niewoli... Widocznem jest, iż  
przybrał on tu inną skórę, gdyż słyżałem, iż,  
miłościwy kneziu, nazwałeś go imieniem Ro-  
sława... a tymczasem to Herman, Niemiec,  
szpieg i zdrajca... Przybył on tu, by knuć zdra-  
dę wokoło ciebie, by szpiegować każdy krok  
twój, panie, a następnie ażeby cię zaprzedać  
panom swoim, Niemcom...

Pod nawałą tych oskarżeń straszliwych  
pobladł Herman, opuścił na piersi głowę.  
Wzniósł ją do góry dopiero, gdy kneż Mestwin  
spytał:

— Prawdąż są wszystkie te zarzuty, przez tego oto witezia czynione?

— Nie, nieprawda, — odrzekł hardo, — nie przeczę wcale, że w podróżach mych po ziemiach niemieckich spotykałem tego młodzieńca, który inne niż obecnie nosił imię, Arnulfa, i był jednym z najbliższych dworzan jednego z panów niemieckich. Zdumiałem się też wielce widząc go tu, w orszaku knezia lechickiego. Snać przybył on do niego w celu czynienia tego, co mi zarzuca. A obawiając się, bym nie zepsuł mu roboty, mnie o to obwinia...

Posiniał cały na ten zarzut Mściwój i z zaciśniętymi pięściami przyskoczył do niego.

— Milcz, podły szpiegu, — zawołał — milcz, gdyż słowa twe oszczercze wtłoczę ci z powrotem do gardła. Miłościwi kneziowie, — dodał, zwracając się do obecnych, — wysłuchajcie tylko mej opowieści, a poznacie z niej jakiego rodzaju jest ten człowiek. Przekonacie się, kto ma słuszość.

I błagania pełnemi oczyma wodził Mściwój po kneziach, prosząc ich wzrokiem, by pozwolili mu wytłomaczyć wszystko, a przez to i wroga jego pognębić.

Zrozumiał kneź Mszczuj wymowę oczu jego, i zwracając się do knezia Mestwina, rzekł:

— Mściwój jest gościem moim... Przyją-

łem go na dwór mój, przyjąłem, gdyż już z sił opadły, niemocny, padł w puszczy, łaską bogów uratowany z przed ataków rozwścieczonego żubra... Niepytany — wyjaśnił mi, iż jest synem knezia słowiańskiego, lecz nie pomni ani imienia swego, ani rodu, ani miejsca, gdzie gród rodzica jego się znajduje. Małem dziecięciem wzięty do niewoli niemieckiej, zapomniał tego wszystkiego, prócz jednego, że jest słowianinem, że słowiańska rodziła go macierz, i że na słowiańskiej ziemi stała kolebka jego... Żarła go też tęsknota za ziemią rodzinną, aż wykradł się z niewoli Niemych i przybył do ziemi naszej, poszukując rodzica swego, poszukując grodu rodzinnego... Jestem pewien, iż mówił on prawdę, i że prawdziwemi są zarzuty, czynione przezeń temu człowiekowi...

— Nieprawda! — zawołał Herman, usiłując się wyrwać z żelaznych ramion Mściwoja, — broń mnie, kneziu... broń, nie dozwól by rzucano oszczerstwa na dworzanina rodzica twej żony...

Zmarszczył kneź Mestwin czoło, namyślał się przez chwilę, jakby nie mogąc się zdecydować, czyją ma stronę wziąć.

Nazwanego Hermanem męża nie znał blisko... Przybył on niedawno dopiero do grodu jego, z dworu rodzica żony jego, księcia nad-

łabskiego państewka... przybył z pewnemi poleceniami i w pewnych sprawach.

Prawda, iż teść jego w zbyt blizkich i wprost zależnych stosunkach pozostawał z Niemymi, nie należałoby się też zbyt dziwić temu, gdyby i poseł jego był Niemym, i przybywał w interesach swych rodaków, a przytem ten młody witeź tak mówił przekonująco, tyle było mocy i prawdy w głosie jego, że nie mógł mu nie wierzyć.

Wahał się jeszcze, gdy dał się słyszeć starczy, drżący głos Radona:

— Bądź sprawiedliwym, kneziu...

A wnet potem Mściwój zawołał:

— Miłościwi kneziowie... U Niemych, wśród których lat tyle żyłem, istnieje obyczaj, iż jeżeli między dwoma mężami wybuchnie spór, którego nikt rozsądzić nie może, zdają go na sąd swego Boga. On ma być sędzią w tym wypadku, On ma dać zwycięstwo temu, za którym jest słusność... Otóż ja na taki sąd wyzywam zdrajcę i szpiega Hermana... Niech w tej śmiertelnej walce broni go Bóg jego, Bóg Niemych, a mnie niech strzegą nasi bogowie, bogowie przodków i braci moich, Słowian...

Skrzywił się strasznie Herman, posłyszawszy te słowa jego, i cień, jakby lęku, jakby przerażenia, przemknął po twarzy jego. Wi-

docznie niezbyt był pewnym wyniku takiego sądu.

Natomiast książę Mestwin zdawał się być zadowolonym z podobnego rozwiązania sprawy.

— Przystajemy na to, — odrzekł skwapliwie — wypowiesz nam, Mściwoju, zarzuty swe, jakie masz przeciwko Rósławowi, a potem, gdy skończą się uroczystości pogrzebowe naszego brata, stoczycie z sobą walkę śmiertelną. Bogowie będą sędziami waszymi, oni rozsądzą po czyjej stronie jest sprawiedliwość.

Uśmiech tryumfu przemknął po ustach Mściwoja. Puścił Hermana, i skłaniając się kneziom, zawołał:

— Dzięki wam, miłościwi kneziowie. Bogowie nas rozsądzą i karę wymierzą zdrajcy... A teraz... teraz słuchajcie mej opowieści...

Zajęli kneziowie swe miejsca, dworzanie zgrupowali się wokoło, a Mściwój zaczął:

— O ile tylko pamięcią sięgnąć zdołam, gdym małym, bezsilnym był pacholęciem, lecz szczęśliwym i wesołym w grodzie ojca mego, człowiek ten częstym bywał gościem. Przyjmowany mile i goszczony chętnie, długie z rodzicem moim prowadził narady, aż wreszcie... wreszcie... dnia pewnego... porwał mnie... uwiózł z rodzinnego grodu, do ziemi Niemych,

na jeden z ich zamków. Tam osadzono mnie tak jakby pod strażą... Więźniem tam byłem, choć miałem niby pewną swobodę... Tam zaczęto mnie uczyć mowy Niemych, tam zaczęto mnie uczyć ich wiary... A biada mi, gdym niebacznie odezwał się w mowie ojców swoich... On pierwszy mnie bił, bił tak, że krwawe na plecach zostawiał mi ślady. W ten sposób zmuszali mnie do wyrzeczenia się mowy i wiary ojców... I dopięli by swego, gdyby nie stary Hengo, niewolnik, z słowiańskiej przywieziony ziemi... Zachował on w pamięci i mowę rodzinną, i wiarę ojczystą, i tęsknił wciąż za puszciami swemi, za gontynami bogów... Dniami całymi leżał na murawie, wpatrzony w lecące w tą stronę ptactwo, zazdroszcząc mu tego, że ujrzy ziemię jego rodzinną. Tęsknotę tą i miłość mnie zaszczeplił, lecz cóż... Gdy spostrzegli to Niemi, panowie moi, na męki srogie za to go wydali, karząc śmiercią za zepsucie ich planów i zamiarów... Umarł Hengo, z uśmiechem na ustach, krzepiąc się nadzieją, że duch jego uleci do puszczy ojczystej, że będzie tam żyć w spokoju i ciszy...

A wiecie, kto wyszpiegował stosunek mój z Hengiem, kto nas zdradził i jego na męki wydał i sam najsroższe męki mu zadał?... Oto ten... szpieg i zdrajca...

I wyciągniętą ręką wskazał Mściwój na

Hermana, który pod tym nawałem oskarżeń i wspomnień przybladł nieco i opuścił głowę na piersi.

Nabrał tchu Mściwoj i ciągnął dalej:

— Zginął Hengo, lecz ziarno przezeń posiane weszło i wydało owoc. Pomimo wszelkich usiłowań Niemych, by ze mnie zrobić swego, pomimo, iż w tym celu otaczali mnie zbytkiem i rozkoszą, tęsknota nieprzebrana ciągnęła mnie do lasów i puszczy ojczystych... Czekalem tylko cierpliwie okazji, by ujść im, i złączywszy się ze swymi wyrzucić na nich pomstę, za Henga umęczonego, za tysiące mych braci, w niewoli u nich ginących, za cierpienia moje... Lecz przez czas pobytu mego na zamku Niemych napatrzyłem się działalności tego oto zdrajcy... Znajac dobrze mowę słowiańską, jeździł do kneziów połabskich, oświadczając im rzekomą swą przyjaźń, i pilnie przytem bacząc, gdzie są słabe miejsca w ich grodach, lub też słodkimi słowy do zawarcia sojuszu z Niemymi namawiając... Biada tym, którzy jego słowom zawierzyli... Zostawali niewolnikami Niemych... Ziemie ich zajęte zostawały przez ich drużyny, a oni sami do płacenia lenna zmuszeni, o ile nie padli od miecza najeźdźców... Tam, gdzie zjawił się ten człowiek, tam wkrótce gościem były i rozpacz, i smutek, i śmierć... Nikt tyle krzywdy słowianom nie wyrządził, co on,



ten wilk w owczej skórze. A zresztą, przekonajcie się o słuszności słów moich i z tego... Na szyi nosi on krzyż, godło swej wiary, a na plecach ma szramę głęboką od miecza; znak zadany mu przez jednego z kneziów, który obłudnej mowie jego nie uwierzył... Uszedł mu, uszedł po to, by wpaść w moje ręce, lecz, przysięgam na bogi wszechmogące, z mojej ręki śmierć zasłużona go nie minie...

Z zachmurzonym czołem słuchali kneziowie tej opowieści, iskrzącym wzrokiem mierząc Hermana, jakby kurczącego się pod nawałem rzucanych nań oskarżeń.

Gdy umilkł Mściwój, cisza zapanowała przez chwilę, aż wreszcie ozwała się księżna Ofka:

— Pomnę, jeszcze przed laty, iż człowiek ten częstym gościem bywał w grodzie rodzica mego... Przekonywał go wciąż o potędze Niemych, namawiał, aż wreszcie rodzic mój uległ mu, i oddał i siebie i kneziostwo swoje pod opiekę Niemych... Dziś oni tam rządzą... lud cały jest ich niewolnikami, a rodzic mój musi wykonywać ich rozkazy... Do tego przywiódł go ten człowiek...

To ostatnie oskarżenie przeważało szale... Porwał się kneź Mestwin wzburzony z miejsca, nabiegłymi krwią oczyma powiódł wokoło i zdławionym głosem wykrzyknął:

— Zedrzyć z niego szaty!

Poskoczyli wnet dworzanie ku pobladłemu Hermanowi, i nie upłynęła sekunda nawet, gdy stanął bez szat...

Na piersiach jego widniał na łańcuszku złotym krzyż złoty, na plecach widniała głęboka szrama — świadectwo prawdy słów Mściwoja...

Przez chwilę trwało pełne grozy milczenie, aż wreszcie kneź Mestwin mówić zaczął:

— Odprowadzić go do lochów... postawić przy nim straż liczną, by nie uszedł... Jutro — tu na chwilę zamilkł kneź, by ciągnąć potem z naciskiem, — towarzyszyć on będzie bratu mojemu do krainy duchów...

Poskoczyli wnet dworzanie, otoczyli Hermana kołem i wywiedli z izby... Nie stawiał im żadnego oporu, niespokojnie tylko rozglądał się wokoło, jakby szukając u zebranych ratunku i pomocy... Lecz wszędzie tylko spotykał zimne, pełne pogardy spojrzenia...

Wyprowadzono zdrajcę, a kneź Mestwin ciągnął dalej:

— Mściwoju... Sprawiedliwość będzie ci wymierzona i bez sądu bożego... Zdrajca zginie... A teraz siadajmy do posiłku... przy pełnych misach i czarach zapomnijmy o wszystkim...

W chwilę potem wielka izba dworzyszczą

knezia na Szczecinie rozbrzmiewała gwarem ucztujących i weselących się witezi...

A imię zmarłego knezia Wracisława powtarzało się nieraz w żałobnych pieniach gęślarzy...

I na cześć jego, na uspokojenie złych duchów, odlewano z czar po parę kropli napoju...

Do późnej nocy trwała hulatyka i pijaństwo... wszystko na cześć zmarłego...



## VII.

### POGRZEB.

---

Dziesięć dni trwały przygotowania do uroczystego pogrzebu księcia Wracisława...

Na całe dziesięć dni w Szczecinie ustał wszelki ruch handlowy, stanęły wszystkie warsztaty, a w domach mieszkańców ciągle odbywały się uczty, przyczem, przy wspominaniu imienia zmarłego knezia odlewano z czar część trunku na ofiarę bogom, a resztę wlewano do gardeł... Nie żałowano też sobie trunków, topiąc w nich niby smutek i żal po zmarłym...

Nie inaczej się działo i na dworze knezia Mestwina... Ucztowano tam bez przerwy, stoły wciąż stały zastawione, a czary z miodem i piwem wciąż ucztującym napełniali służebnicy.

Smutek i żal prawdziwy po kneziu Wracisławie panowały w niewieściej części dworzyszczka jego. Żona zmarłego i niewolnice

rzewnemi zalewały się łzami z żalu po nim, i zawodziły rozpaczliwie, wzywając opieki Marzanny dla duszy jego.

A tymczasem zwłoki zmarłego przybrano w strój odświętny, w szaty jedwabne, z dalekich, zamorskich krajów przywiezione, w zbroję żelazną, zdobytą na dowódcy Niemych, głowę nakryto szyszakiem żelaznym, pokrytym cienką złotą blachą, ze zwieszającą się od niego misiurką, z cienkich kółek żelaznych uplecioną, a okrywającą w zupełności i szyję, i kark, i twarz zmarłego, pozostawiając tylko otwory na oczy.

Nie żałowano niczego, by godnie, stosownie do dostojęstwa zmarłego, przybrać zwłoki jego.

A więc na szyję założono mu dwie złote obręcze, ramiona zaś okryto złotymi blachami, przytwierdzonemi do safjanowych podkładów.

Na barki zarzucono mu delję wspaniałą, z purpurowej ciemnej materyi, podbitej futrem bobrów, a na nogi wzuto skórnie, z krainy Niemych przez kupców przywiezione.

Tak przyodzianego wspaniale knezia Wra-cisława, usadzono na dnie wielkiej łodzi, z Od-ry wyciągniętej, i podpartej balami, ażeby się nie przewróciła.

Nie na tem jednak skończyło się przybie-

ranie knezia do podróży w dalekie, nieznane światy.

Należało jeszcze zaopatrzyć go, jak na prawego witezia przystało, i w oręż ku obronie, i w naczynia, by miał się czem posilać w dalekiej, zaziemskiej wędrówce, i w rumaka, na którym przebiegał by błonia państwa duchów, i w służebników i służebnice, którzy by mu tam posługiwali...

Przewieszono mu więc przez szyję miecz, przepięknej rzymskiej roboty, w srebrną pochwę ujęty. Postawiono obok i łuk szybkostrzelny, i kołczan z strzałami, i oszczep wierny, z którym zmarły na niedźwiedzie i dziki chadzał, i tarczę wielką, srebrnemi blachami krytą.

Uzbrojenie było w komplecie, postawiono więc jeszcze u stóp zmarłego wspaniały puhar srebrny, lekkiej bizantyjskiej roboty, przez kupców ze wschodu przywieziony, wielki róg bawoli, w srebro oprawny, miodem napełniony, by miał czem pragnienie ugasić, wielki kocioł miedziany, jadem napełniony, i wiele innych drobiazgów, które zmarły za życia używał.

A i służbę, która mu miała na drugi świat towarzyszyć, miał przygotowaną zmarły. Niewieścią miała przedstawiać młoda niewolnica, która sama dobrowolnie oświadczyła chęć towarzyszenia panu swemu w wędrówce zaziemskiej.

Trzymały ją teraz w ciągłej opiece towa-

rzyszki niewoli, poiły różnemi trunkami, by w stanie wiecznego oszołomienia pozostawała, by żal ją nie przejął, że pożegnać musi i to słońko jasne, i te łąki zielone, po których z towarzyszkami płasała, i te gaje i bory, w których grzyby i jagody zbierała; poiły ją, by zagłuszyć w niej obawę śmierci, straszliwej, tajemniczej, by stłumić w niej żal za młodością i życiem.

Służbę mężką mieli przedstawiać niewolnicy niemieccy w liczbie pięciu, z Hermanem na czele, w lochach dworzyszczą kneziowego siedzący. Niemi nikt się nie zajmował. Wiedzieli oni dobrze, jaki los ich czeka, i z drżeniem czekali chwili, gdy wywiodą ich na kaźń, na śmierć straszliwą, a dochodzące do nich, aż pod ziemię, wrzaski i zawrota pijanej tłuszczy, najlepiej zawiadamiały ich, że chwila ta zbliża się...

Główny nadzór nad ceremoniałem pogrzebowym objęła stara już bardzo niewiasta, służebnica jednej ze świątyń szczecińskich, będąca uosobieniem Marzanny, bogini śmierci. Wszyscy też zwracali się do niej z zabobonna trwogą, a ona, pomimo wieku sędziwego, krzątała się żywo, to kierując ubieraniem zmarłego, to obstawiając łódź posążkami dobrych bogów, mających odpędzać złe duchy, tuż koło nieboszczyka krążące i na duszę jego czyhające.

Ona to wypełniła łódź owocami i ziołami aromatycznymi, i przygotowała dwie krowy, psa, kurę i koguta, które wraz z panem swoim na tamten świat iść miały.

Ona to również opiekowała się wyborem niewolnicy, a następnie wskazywała towarzyszkom jej, jak postępować mają, ażeby ją w stanie ciągłego oszołomienia utrzymać.

Kierowała ona również i płaczkami, które przy łodzi ze zwłokami nieustannie zawodziły, jak i służbą, która gościom i domownikom bezustannie czary miodem i piwem napełniała...

Dziesięć dni trwała taka szalona orgja, dziesięć dni trunki lały się bez przerwy, i wszyscy mieszkańcy Szczecina z żalu po zmarłym ciągle pijani byli...

Mściwój, któremu obce były te obrzędy pogrzebowe słowian, z ciekawością im się przyglądał, znajdując wielką różnicę między nimi a obrzędami Niemych, wśród których spędził prawie całe życie swoje.

Wstrzeźliwy w użyciu trunków, nie przyjmował udziału w ogólnem pijaństwie, któremi nawet nie pogardził i kneź Mszczuj ze swoją drużyną.

Cały wolny czas spędzał na zwiedzaniu Szczecina, grodu wielce różnego od innych grodów słowiańskich, a zbliżającego się swym



typem do wielu grodów niemieckich, jakie w młodości swej oglądał i zwiedzał.

Domostwa w niem nie tylko drewniane były. Wznosiły się również i domy z kamienia, na sposób niemiecki budowane, z oknami nawet, błonami zwierzęcemi dla przepuszczania światła, zaciągniętymi.

Znać na całym grodzie już było wpływ sąsiednich Niemych, znać było i wpływ mnogich kupców, z dalekich krain przybywających z towarami, i nowości swej ziemi przeschczepiającymi na ziemie słowiańskie. Dla nich to w środku grodu urządzony był rynek obszerny, zastawiony kramicami, cieszyli się też oni w grodzie pewnemi względami i łaskami.

Różnił się tylko Szczecin od grodów niemieckich świątyniami bogów. Było ich cztery. Wznosiły się na wzgórzach, w czterech rogach grodu, który leżał w kotlinie, między niemi.

Na najwyższem wzgórzu wznosiła się najważniejsza świątynia, poświęcona Trygławowi.

Była ona wspaniałą, z nadzwyczajnem staraniem i sztuką zbudowaną. Zewnątrz i wewnątrz okryta była płaskorzeźbami, wyobrażającemi ludzi, ptaki i zwierzęta. Wiły się one i kłębiły w precudnych wzorach, a przytem barwione były tak umiejętnie, że ani klimat, ani niepogoda barwom tym szkody żadnej nie przynosiły.

Pośrodku świątyni, na specjalnem wzniesieniu, stał niewielki posązek Trygława, z zasłoną na ustach i oczach.

Służyła mu cała rzesza kapłanów, a w ofierze składano mu część łupów wojennych, skarby, rogi bawole, w złoto i drogie kamienie poprawne, oraz broń.

Z podziwem przyglądał się temu Mściwój, a towarzyszący mu Radon, gęslarz, w ten sposób objaśniał mu wszystko:

— Nie żałował lud Pomorzan ani łupów, ani srebra, ani złota na to, ażeby kontynę boga swego, wszechmocnego Trygława, przyozdobić... Z dalekich stron, het, z za mór i rzek, sprowadzali oni ludzi umiejących wyrabiać te cudne płaskorzeźby i barwić je tak wspaniale... Łożyli na to kneziowie ich, łożył i lud cały, tak, że obecnie świątynia szczecińska wspaniałością swą daleko w świecie słynie, i ustępuje tylko tej, która w Arkonie czci Swantewida jest poświęcona.

Wysłuchał Mściwój tych objaśnień, poczem skłonił się i rzekł:

— Darujcie, ojcze, że spytam się was o coś... Wybaczcie mej nieświadomości, lecz tyle czasu spędziłem poza krajem ojczystym, żem wielu rzeczy nieświadom, że nieznanemi mi są i wierzenia wasze, i obyczaje... Proszę cię

więc, powiedz mi, czy równym potężnemu Swantewidowi jest bóg Pomorzan — Trygław?

Z przerażeniem rozejrzał się po kontynie Radon, a widząc, że pustą jest, rzekł szeptem:

— Szczęściem, że nikogo z kapłanów w świątyni nie było, że niebacznego pytania twego nie słyszeli... Toż śmierć... straszna śmierć w mękach groziłaby nam za to... Chodźmy ztąd, a gdzieś, na uboczu, odpowiem ci na pytanie twoje.

Wyszli z kontyny, minęli domostwo, w którym kapłani i służba mieszkali i skęcili w bok, do gaju... Tam pod wielkim dębem przysiadł na murawie Radon, tuż przy nim zajął miejsce Mściwój, i pierwszy w ten sposób opowieść swą zaczął:

— Jednakiej potęgi bogami są bóg Swantewid rugijski i Trygław szczeciński. Jednakowo stworzył ich przepotężny Jesse, bóg i stwórca wszystkiego, pan całego świata... Stworzył ich na to, by mu w rządzeniu światem pomagali...

— A czy, ojcze, wznosi się gdzie świątynia przepotężnego Jesse? — spytał Mściwój.

— Nie, — odrzekł Radon, — świątynią jego jest świat cały... Stworzył go on wymówieniem jednego potężnego słowa „Halu“, i opiekuje się nim, i zajmuje, dbając o wszystko, o wszystkim wiedząc. Lecz za ciężko mu by-

ło samemu zajmować się wszystkim, powołał więc do pomocy boga Trygława...

I oto, gdy przepotężny Jesse, wymówił swe cudowne słowo *Halu*, urwał sobie Trygław jedną z głów, z której pociekła krew biała...

Z krwi tej powstał bóg dobry, biały, czysty, nazwany Biełbogiem, a opiekujący się wszystkim co dobre i piękne...

Urwał sobie potem Trygław drugą głowę, i pociekła z niej strumieniem krew czarna... I z krwi tej powstał bóg zły, Czernobogiem zwany, a opiekujący się ciemnościami i wszelkiem złem na ziemi...

I oto, ledwie powstał ci bogowie, wnet wszczęła się między nimi walka, walka, trwająca dotychczas, walka ciemności ze światłem, walka dobrego ze złem...

Spostrzegł te walki zajadłe Trygław, i przeraził się wielce, że staną się one przyczyną wielkich krzywd dla świata i ludzi, i czempredzej urwał sobie trzecią głowę... I połała się z niej krew czerwona, z której powstał olbrzym rudy, nazwany Ham...

I olbrzymowi temu polecił bóg Trygław, ażeby siłą swoją i wpływem hamował nieustannie walkę dobrego ze złem — Biełboga z Czernobogiem... Każdemu zaś z tych bogów dał Trygław wszechmocny do pomocy siedem potęg, ażeby posługiwał się nimi i wyręczał...

Umilkł Radon, a po chwili znów Mściwój spytał:

— Darujcie, ojcze, lecz objaśnijcie mnie, co znaczą zasłony na oczach i ustach boga Trygława?

— A to dla tego mój synu, iż umyślnie nie widzi on i zamilcza występki ludzi, że jest dzięki temu bogiem dobrym i łaskawym, pomimo całej swej potęgi...

Nie pytał o nic więcej już Mściwój... Zadmął się tylko nad tem, co posłyszał od Radona... A może w głębi duszy czynił porównania nad wiarą, której go w krainie Niemych uczono, a nad tą, którą bracia jego, słowianie, wyznawali...

Wstali z murawy i skierowali się w stronę dworzyszczka knezia Mestwina, zwłaszcza, że południowa pora czas na posiłek wskazywała...

Nie mogli się precyzyjnie przejść przez podwórzec, napelniony mieszkańcami Szczecina, cisnącymi się po poczęstunek darmowy z miodu i piwa, które hojnie szafowano z racji tryzny po zmarłym kneziu.

Obeszli więc dworzyszczko, i od tyłów, gdzie pusto było, dostać się do niego pragnęli.

Już mijali wielkie spichrze z kamienia wystawione, gdy do uszu ich dobiegło głuche, jak z pod ziemi, wołanie:

— Arnulfie!... Arnulfie!...

Przystanął Mściwój, zdumiony tem, kto go może nazywać imieniem, które w krainie Niemych nosił. Wołanie się powtórzyło.

— Ktoś ty i gdzie jesteś? — spytał Mściwój.

A głos tajemniczy, zgłuszony, wyrzekł znów:

— To ja, Herman... Nachylił się tu, do otworu... ale tak, ażeby nikt nie widział... Mam ci coś, wielkiej dla ciebie wagi, powiedzieć...

Mściwój, zaciekawiony temi słowy, mimowoli obejrzał się wokoło, a spostrzegłszy, że w pobliżu niema nikogo, nachylił się do niewielkiego otworu w ziemi, wiodącego widocznie do lochów, w których kneź Mestwin jeńców swoich dzierżył...

W ciemnościach tam panujących ujrzał błyszczące oczy Hermana.

— Arnulfie, — posłyszał znów szept jego — czy chcesz dowiedzieć się, kto jest rodzicem twoim?

Drgnął Mściwój, posłyszawszy to pytanie, a Herman ciągnął zwodniczym głosem dalej:

— Tajemnicę tą mogę ci odkryć... Mnie jednemu tylko jest ona znaną i odemnie zależy wyjawić ci ją... Potężny to kneź, ma mnogie grody i sioła...

I umilkł na chwilę, jakby chcąc przekonać się, jaki skutek słowa jego odniosą.

Mściwój stał jak wryty. Nareszcie tajemnica pochodzenia jego ma zostać odkrytą... Nareszcie przestanie być bez rodu i nazwy... Nachylił się więc nad otworem i wyrzekł:

— Powiedz, Hermanie... powiedz... zaklinam cię na twego Boga... zaklinam cię na wszystkie moje bogi...

Uśmiech tryumfu, niedostrzegalny w ciemności, przemknął po ustach Hermana. Ryba schwytała haczyk, — należało tylko umiejętnie skorzystać z tego, ażeby nie zepsuć sprawy.

— Powiem ci, — odrzekł — ale pod pewnymi warunkami.

— Jakimi? — gorączkowo spytał Mściwój.

Długą chwilę milczał Herman, wreszcie rzekł z naciskiem:

— Pod warunkiem, że dopomożesz mi do odzyskania wolności.

Cofnął się Mściwój, posłyszawszy ten warunek, a rozjaśniona twarz jego przygasła, ściągnęła się, jakby od bólu straszliwego.

Wszelka nadzieja odleciała od niego... czuł dobrze, że to, co żądał od niego Herman, jest niewykonalne, że o tem, by wolność dla niego uzyskać — marzyć nawet nie można...

Kneź Mestwin — przy licznych puharach z miodem i piwem obchodzący tryznę — pija-

ny bez przerwy — nie będzie nawet chciał wysłuchać jego prośby... nie zrozumie jej i ze śmiechem odrzuci... Wszakże kneź Wracisław w wędrówce do lepszych światów musiał mieć orszak, i to orszak liczny, z jeńców złożony... A przecież Herman był ważnym jeńcem... był ozdobą przyszłego orszaku knezia Wracisława.

Co czynić więc?...

A tu z pod ziemi płynie szept kusicielski:

— Uwolnij mnie... Rodzic twój potężnym jest kneziem... Tyś dziecięciem jego... uwolnij mnie a wskażę ci imię jego i ziemie, któremi włada.

Mściwój z bólem słuchał tych słów kusiciela, wreszcie wyszeptał:

— Nie mogę, nie mogę... kneź Mestwin błagań mych nie usłucha, a do lochu przeniknąć nie sposób... Zaklinam cię więc na Boga twego, wyjaw mi prawdę, wynagrodź krzywdę wyrażoną, wróć mi rodzica.

Lecz Herman roześmiał się cicho, zjadliwie...

— Nic darmo — syknął — przyjdź nocą... strażę pijane będą... przeszkody nie spotkasz żadnej... Odwalisz wrota, i ja wyjdę na wolność... Odprowadzisz mnie do skraju puszczy, i tam ci wyjawię tajemnicę twoją...

Zawahał się Mściwój...

Z jednej strony kusiła go obietnica Her-



mana, z drugiej znów lękiem go przejmowały skutki, jakie czyn jego mógł spowodować...

Lecz pragnienie odnalezienia rodzica przemogło...

— Dobrze, będę, — rzekł zduszonym głosem...

— Lecz pomnij, nie mów o tem nikomu... bądź sam... — sykiem dobiegły do niego słowa Hermana.

— Dobrze, — odruchowo rzekł Mściwój, odchodząc spieszenie od otworu lochu.

Resztę dnia tego spędził w gorączce i niepokoju... Lęk go przejmował na myśl, że może ktośkolwiek z drużyny knezia Mestwina dostrzegł rozmowę jego z Hermanem, doniósł o tem księciu i że przeszkodzi mu w wykonaniu jego planu.

Wszystko jednak zwykłym toczyło się trybem. Wszyscy siedzieli przy pełnych krużach z miodem i piwem, wszyscy pijaństwem wyrażali żal swój po zmarłym kneziu.

Uspokojony tem, poszedł na zwiady do wniścicia do lochów dworzyszczca... Trzymało przy nich straż dwóch zbrojnych pacholków, lecz i im nie żałowano trunków, by mieli czem godnie uczcić pamięć zmarłego knezia. Stały przy nich dwa wypróżnione dzbany z miodem, a służba coraz im nowe donosiła. Kiwali się też obydwaj, kłoniąc się coraz bardziej w obję-

cia snu. Nie żałowano też trunków i jeńcom, w lochu zamkniętym. Spuszczano im przez otwór dzbany piwa pełne, jakby w ten sposób chcąc im uprzyjemnić ostatnie chwile życia...

— No, z tymi nie będzie trudno, — pomyślał Mściwój, i już z niecierpliwością oczekiwał nocy.

Nadeszła wreszcie. Po cichu, ostrożnie, przy świetle księżyca i odblasku, rzucanym przez płonące ogniska, przekradł się do wnijścia do lochów. Już z pewnej odległości dobiegł do uszu jego miarowy oddech śpiących wartowników.

— Śpią, — szepnął, — tym lepiej... Łatwiej mi się wszystko uda...

Wyminął ich ostrożnie, i podsunąwszy się do drzwi kowanych, poomacku szukać zaczął zawory. Odnalazł ją z łatwością, a potem i zamek, w którym tkwił klucz... Widocznie tak wszyscy byli pewni, że jeńcy im nie uciekną, że niczem a niczem przedtem się nie zabezpieczyli.

Otworzenie drzwi było dziełem jednej chwili, i wnet stanął przed nim Herman, który już z drugiej strony na to oczekiwał.

— Zamknij, — szepnął, a gdy Mściwoj uczynił to, dodał: — a teraz prowadź mnie... prowadź mnie aż do skraju puszczy... tam spełnię obietnicę moją...

Posłusznie prowadził go Mściwój przez gród pełen uczujących żalobnych gości...

Tak wyszli po za bramy grodu i znaleźli się na skraju olbrzymiego boru.

Herman przystanął i rzekł, zwracając się do Mściwoja:

— Tu się rozstaniemy...

— A przyrzeczenie twoje?... — z niepokojem spytał Mściwój...

— Dotrzymam go, lecz przedtem do ostatka wypełnij to, coś mi przyrzekł...

Ze zdziwieniem spojrział na niego Mściwój, a Herman ciągnął po chwili dalej:

— Czyż sądzisz, że puszcę się na wędrówkę przez te wasze puszcze bez oręża w rękę, by dzisiejszej nocy jeszcze paść ofiarą zwierząt drapieżnych?

— A więc! — spytał Mściwój...

— Zaopatrz mnie w oręż, a w chwili, gdy go posiądę, powiem ci imię ojca twego...

Zawahał się przez chwilę Mściwój, przemoгло wreszcie pragnienie poznania tajemnicy i odpasawszy mieczyk od pasa, podał go Hermanowi...

Zabłyszczały mu oczy, gdy poczuł broń w rękę, uśmiechnął się szyderczo i wydobywając ostrze z pochwy, powoli mówić zaczął:

— Ojcem twoim jest...

I gdy Mściwój pochylił się, by lepiej to

upragnione imię posłyszeć, pchnął go z całej mocy w pierś...

Zachwiał się Mściwój, krew trysnęła mu z rany, i jak młody dębczak, podcięty ciosem siekiery, runął na mech puszczy...

Z szatańskim śmiechem wyciągnął Herman miecz z rany, obtarł krew z niego o szatę Mściwoja i szybkim krokiem oddalił się, ginąc w zaroślach...

\* \* \*

Od samego rana zawrzał Szczecin przygotowaniami do pogrzebu... Umieszczone w łodzi zwłoki knezia Wracisława, obłożono drzewem, przygotowując je do spalenia...

Zewsząd rozlegały się zawodzenia i płacze niewiast, a najgłośniej zawodziły niewolnice zmarłego, otaczające towarzyszkę swoją, która miała towarzyszyć zmarłemu w wędrówce do innych światów.

I w dworzyszczu knezia Mestwina szykowano się do obchodu pogrzebowego. Wszyscy uczestnicy zebrali się na podwórzu przy stosie, gdy kneź rozkazał przywieść jeńców, którzy do orszaku zmarłego w krainie duchów należeć mieli...

Upłynęła chwila, gdy powrócił wysłany dworzanin i poblady zbliżył się do knezia Mestwina.

— Miłościwy kneziu, — rzekł drżąc całym, — jeńcy są... brak tylko Hermana... znikł bez śladu...

Rumieniec gniewu oblał twarz knezia.

— Uszedł! — zawołał, — a więc musiał mieć wśród dworzan kogoś, kto mu ucieczkę ułatwił...

I płonącym okiem wodził po zebranych, jakby szukając wśród nich winowajcy.

Naraz zatrzymał wzrok na kneziu Mszczuju i otaczającym go orszakowi. Przez chwilę długą jakby liczył ich, wreszcie rzekł:

— Miłościwy kneziu, gdzież jest ów młody witez, bez rodu i imienia, którego wy Mściwojem nazywaliście, a zdradziecki Herman Arnulfem mianował?

— Nie wiem, kneziu miłościwy, — odrzekł kneź Mszczuj: — już wczorajszego wieczora nie było go wśród nas... Widocznie poszedł na łowy i zabłądził wśród puszczy...

— Twój Mściwój, kneziu, — zawołał z gniewem kneź Mestwin, — był szpiegiem takim samym, jak i Herman, z którym razem uszedł... Hej, drużyna... natychmiast udać się na wszystkie drogi i ująć mi ich... ująć żywych czy umarłych i przywieść tu...

W jednej chwili zbrojni wojacy kneziowi dosiedli rumaków i pędem puścili w pogoń za zbiegami.

Uroczystości zaś pogrzebowe odbywały się dalej.

Najstarszy kapłan Tryglawa w otoczeniu innych kapłanów, przy śpiewie pieśni żałobnych, podszedł do drżących i z trwogą czekających na śmierć swoją jeńców i ostry nóż wbił im w serca.

Włożono ciała ich do łodzi, lokując u stóp zmarłego knezia, siedzącego w swych szatach godowych na ławie, wzorzystym kilimem zasłanej.

W ślad za tem podeszli i inni żałobnicy, składając tuż przy nim to posążki bogów, to oręż, to miodu pełne czary, to owoce, zboże, rośliny i zioła.

Przyprowadzono i rumaka zmarłego, na którym puszczał się na wyprawy, to psa ulubionego, to krowę, kurę i koguta.

Przy śpiewie odpowiednich pieśni zabijał arcykapłan te zwierzęta, które składano w łodzi, by towarzyszyły zmarłemu...

Nadszedł wreszcie i orszak niewolnic, odprowadzających swą towarzyszkę, mającą towarzyszyć panu w wędrówce w za światy.

Orszak ten odznaczał się weselem dziwnym i radością. A zwłaszcza tchnęły nim pieśni oblubienicy zmarłego, oszołomionej trunkiem, pozostającej w stanie ekstazy...

O świcie samym podnoszono ją trzykrotnie

nad studnią, a dziewczę, zaglądając w jej głąb, wołało jakby w zachwyceniu:

— Rodzice moi i krewniacy wyciągają ramiona, pan mój siedzi w zielonym sadzie, w gronie mężów i chłopców i przywołuje mnie do siebie... Prowadźcież mnie do niego...

Poprowadzono ją do żałobnej łodzi, a gdy stanęła na jej skraju, zdejmować poczęła z siebie ozdoby i klejnoty, i rozdawała je rówieśnikom i przyjaciółkom, poczem, przy śpiewie pieśni, weszła do namiotu, rozpiętego nad zwłokami zmarłego knezia.

Tam oczekiwała na nią już stara niewiasta, „aniołem śmierci“ zwana, i pochwyciwszy za rękę, podprowadziła do zwłok siedzącego knezia...

Zwierzęcy przestрах błysnął w oczach dziewczęcia... Chciała się wyrwać, chciała uciec przed grożącą jej śmiercią, lecz było już zapóźno... Stalowe palce kobiety schwytały ją za szyję, nagięła ją ku ziemi i zadusiła, potężnym ciosem sztyletu jednocześnie przebijając

Dokonawszy tego, jednym skokiem znalazła się na ziemi, a kneź Mestwin, który, trzymając płonącą żagiew w ręku, czekał tylko na jej ukazanie się, przyłożył pochodnię do stosu.

Czerwonym płomieniem zajęły się suche, smolne pnie drzewa, tworzącego stos. Ogniste

języki poczęły je lizać, pnać się coraz wyżej, aż wreszcie objęły cały...

Wysoko ku niebu strzeliły płomienie stosu, a wraz z niemi pomknęła wzwyż i dusza zmarłego knezia.

Zebrany tłum wydał gromki okrzyk i krzyczał tak bez przerwy, wyprawiając przytem hałas straszliwy, ażeby tylko odpędzić złe duchy, gęsto wokoło stosu krążące.

Splonął stos wreszcie... Ze szczątków knezia i orszaku jego pozostała tylko garść popiołu, który zebrano do wielkiej urny glinianej, i na temże miejscu w ziemi zakopano, sypiąc nad nią kopiec wysoki, mogilny.

Na szczycie kopca zatknięto wielki pał, do którego przytwierdzono godła zmarłego knezia.

Kończono już tą czynność, gdy jeden z drużyny dał znać kneziowi Mestwinowi, że powracają wysłani w pogoń, że powracają wolno bardzo, wiodąc kogoś.

— Pojmali ich! — zawołał uradowany kneź, — ha, ukarzę zdrajców, — a zwracając się do kapłana Trygława dodał: — jutro, na cześć boga, zginą w świątyni.

Z niecierpliwości, nie mogąc doczekać się przybycia wysłańców, wyruszył na ich spotkanie, lecz któż opisze zdumienie jego, gdy ujrzał, że przyczyną tak powolnego posuwania się



ich naprzód było to, iż między końmi, na noszach z gałęzi, wieźli kogoś rannego czy nieżywego...

— Czyżby żywcem wziąć się nie dali? — przemknęło mu przez myśl.

Przybywający spostrzegli knezia z orszakiem i dowódca galopem pomknął w stronę jego.

— Miłościwy kneziu, — zawołał, — wieziemy jednego Mściwoja bez ducha prawie.

— Czyżby opór stawiał? — zapytał kneź Mestwin, — walczył z wami?

Zdziwienie przemknęło po twarzy dowódcy.

— Nie,—odrzekł—nie walczyliśmy z nim wcale... Znaleźliśmy go z przebitą piersią, na skraju puszczy.

— To Herman go zamordował — zawołał kneź Mszczuj, rzucając się wraz z Radonem, gęślarzem, ku rannemu. — Mściwój spostrzegł ucieczkę jego, chciał go zatrzymać, a ten go mieczem przebił.

Radon, pochylony nad rannym, szukał w nim śladów życia. Cichy, ledwie dostrzegalny oddech poruszał pierś jego. Od czasu do czasu skurcz bólu przebiegał po twarzy.

Długo, bardzo długo badał rannego Radon, a wszyscy z zapartym oddechem czekali na wyrok jego...

Podniósł się wreszcie z klęczek i wyrzekł:  
— Żyw będzie... nieście go do dworzy-  
szcza...

---

## VIII.

### W KRÓLESTWIE SWANTEWIDA.

---

Roilo się od ludzi pobraże Bałtyku, na wprost świętej wyspy Rajany, przez Niemych Rugią przezwanąj.

Ze wszystkich stron, ze wszystkich krain, gdzie tylko mowa słowiańska rozbrzmiewała, ciągnęli ludzie na wezwanie arcykapłana Swantewida, na wielkie gody jesienne, na cześć tego boga wyprawiane.

Ciągnęli wszyscy, wiedząc dobrze, że na świętej wyspie wiec wielki ma się odbyć, na którym święta wojna przeciwko Niemym ma być uchwalona.

Rybacy pobrażni od świtu do późnej nocy przewozili przybywających pielgrzymów łodziami swemi, podobnemi do łodzi wikingów normandzkich.

Lecz nie mogli oni nadażyć, zwłaszcza, że i Bałtyk w czasach owych nie był zbyt spokoj-

ny... Burzył się i gniewał, wzdymając swe fale, grożąc niemi śmiałkom, którzy je dziobami łodzi swoich przecinać ośmielili się...

Z zazdrością spoglądano na tych, co jak kneź Mestwin pomorski, własnymi łodziami przybywszy z wód Łaby, nie czekając na przewoźników, do wybrzeży świętej wyspy, do świętego grodu Arkony mknęli.

Silne ręce wioślarzy popychały naprzód i naprzód łódź olbrzymią, z wywieszonym na maszcie proporcem z godłem knezia Mestwina.

Pierwszą łódź zajmował sam kneź Mestwin, z przedniejszymi witeziami swemi, oraz gościnnie zaproszonym kneziem Mszczujem i synami jego. Drugą łodzią podążała drużyna Mestwinowa i Mszczujowa.

W pierwszej łodzi, na rozesłanych na pokładzie skórach niedźwiedzich i rysich, spoczywał blady, wyczerpany Mściwój... Starania i leki Radona przywróciły go do sił i zdrowia, za żadną też cenę nie chciał przystać na to, ażeby pozostawiono go w dworzyszczu Mestwinowem.

— Muszę... muszę jechać z wami, — powtarzał z uporem: — czuję, że odnajdę tam rodzica... że tam nareszcie znajdę spokój i szczęście...

I tak prosił i nalegał, że ani kneź Mszczuj, ani Mestwin nie mieli serca pozostawić go, i gdy

tylko rana lekko goić się zaczęła, gdy Radon zdecydował, że bez szkody podróż odbyć może, wyruszono w drogę.

Prawdę o Hermanie zataił Mściwój, wiedząc dobrze, że za ułatwienie mu ucieczki śmierć by go spotkała... Na wszystkie zapytania odpowiadał, iż wracając z łowów napotkał uchodzącego Hermana, chciał go zatrzymać, lecz ten mieczem przeszył mu pierś i uszedł.

W głębi duszy jednak poprzysiągł mu pomstę, pomstę straszną i okrutną.

Łagodnie kołyszą fale Bałtyku łódź kneziowską. Na szlaku swym spotykają łodzi wiele, a wszystkie mkną w jedną stronę, do świętej wyspy Rajany, do świętego grodu Arkony.

Widać już wreszcie zdaleko gród ten... Rozściela się on u podnóża wzgórza, na którym wznosi się wspaniała gontyna potężnego boga Swantewida, błyszcząca zdaleka miedzianym swym dachem.

Gród na czas godów jesiennych, urósł, spoutęzniał... Wokoło niego jakby z pod ziemi wyrosło drugie miasto, złożone z płóciennych namiotów, z płonącemi przy nich ogniskami, przy których warzą strawę i grzeją się niezliczone roje pielgrzymów.

Znaczna część znów pozostała na statkach, którymi przybyła. Roilo się też w przystani

od statków wszelkiego rodzaju, od wielkich okrętów począwszy a na małych łodziach skończywszy.

Pielgrzymi nasi nie należeli do liczby tych, którzy na łodziach pozostali. Kneź Mestwin wśród kneziów słowiańskich poczesne zajmował miejsce, rozbiła więc służba już zawczasu dla niego namiot, na rzymską modę zrobiony, z białego płótna, z purpurowem obramowaniem.

Namiot ten był tak obszerny, że nietylko kneź Mestwin w nim pomieszczenie znalazł, ale i knezia Mszczuja gościnnie zaprosił i chorego Mściwoja umieścił i paru z przedniejszych towarzyszy swoich.

Tuż, opodal, stanęły namioty dla drużyny obydwóch kneziów.

Zebrani już byli prawie wszyscy kneziowie i przedniejsi władcy słowiańscy, do których arcykapłan wici rozesłał.

Wrzało też na wyspie, jak w ulu. Rozprawiano, wypytywano się, a główną osią, około której cała rozmowa się obracała, byli Niemcy, i spodziewana wyprawa na nich.

Zamieszkali bliżej granic niemieckich i cierpiący straszliwe krzywdy i łupiestwa od swych sąsiadów, opowiadali o nich tym, którzy ukryci w głębi puszczy, poza rzekami wielkimi, nie

mieli jeszcze czasu zakosztować przyjemności sąsiadowania z takimi krzywdzicielami.

W czasie rozmowy mimowoli płonęły oczy, ręce chwyciły za miecz, a usta wykrzykiwały groźnie:

— Hej, na Niemych!... na Niemych!.. Pomsta na nich!... pomsta za wszystkie krzywdy, za wszystko zło!...

I potrzeba było tylko jednej iskry, któraby, padłszy w to zarzewie, roznieciła je w jeden potężny płomień, który, ogarnawszy całą słowiańszczyznę, zwrócił by się przeciwko znieprawidzonemu Niemcom.

Na przystani służba świątyni bacznie pilnowała przyjeżdżających, wypytywała się ich, zkad przybywają i t. d., bacznie strzegąc, by pod skórą słowiańską nie przekradł się jaki szpieg niemiecki.

Pilnowali tego gorliwie również i sami pielgrzymi, zwłaszcza, że schwymano trzech podejrzanych osobników, którzy przeniknąć chcieli tajemnicę świątyni i którzy zbyt kręcili się wśród tłumu, rozpytując się o to, kiedy spodziewaną jest wyprawa, który szczep słowiański ją rozpocznie i kto wodzem zostanie.

Ciekawość swą drogo okupili... Ujęci, do lochów świątyni, pod straż, wrzuceni zostali, a w czasie najbliższych uroczystości życie mieli dać w ofierze Swantewidowi.

Na wieść o przybyciu knezia Mestwina, przysłał wnet arcykapłan jednego z służebników swoich, wzywając go do siebie.

Posłuszny był temu wezwaniu kneź Mestwin, gdyż wszyscy słowianie tego świętobliwego starca czią najwyższą otaczali.

Z szczupłym orszakiem, w towarzystwie knezia Mszczuja, udał się do świątyni. Towarzyszył im i Mściwój, nie pewnie coprawda trzymający się na nogach, lecz korzystający z pozwolenia Radona, że może wstać na krótki przeciąg czasu, raz dla tego, że pragnął poznać i zwiedzić święty gród Swantewida, a powtórze, że chciał zwrócić się do arcykapłana z prośbą gorącą, by wśród zebranych kneziów ogłosił o nim, a nuż wśród nich znajdzie rodziciela.

Ożywiony tą nadzieją, kroczył dość żywo w orszaku, wspierając się na ramieniu potężnego Tomira, syna Mszczujowego.

Z zaciekawieniem rozglądał się wokoło, podziwiając wszystko na co padło spojrzenie jego.

Minęli wreszcie miasto namiotów, i zbliżyli się do świętego grodu Arkony. Warowny był on, warowny z natury samej, jak i przez sztukę ludzką. Mieścił też w sobie potężną załogę, gotową zawsze do obrony. Koniecznem to było ze względu na rozbójnicze zamachy normandzkich wikingów, przemyskających się



po Bałtyku na swych lotnych łodziach, i napadających na wszystkie przybrzeżne miejscowości, i łupiących je bez litości.

A gród Swantewida w świecie całym słynął z nieprzebranych bogactw, jakie w świątyni jego nagromadzone być miały.

Z drugiej strony strzedz się trzeba było i łupieżczych Niemców, którzy zagony swe w te strony już zapuszczali.

Wznosił się więc gród na wierzchołku wyniosłego przylądka, od wschodu, południa i północy warowny już przez samą naturę, opasany głębokimi przepaściami, do których wierzchołka strzała z łuku puszczone by nie dosięgła.

Strome zbocza wzgórza stanowiła skała, po której piąć się do góry nie ośmieliłby się żaden, najodważniejszy nawet z wojaków.

Od zachodu ochraniał gród przekop na 50 łokci wysoki, przyczem niższa połowa jego usypana była z ziemi, górna zaś z potężnych pólów dębowych się składała.

W północnej stronie tego boku, mieściło się źródło, które zaopatrywało w wodę gród cały.

Wewnątrz tak warownego grodu mieściły się domostwa, na uboczu od których, wśród świętego gaju, wznosiła się świątynia Swantewida.

Obydwóch kneziów poprowadzono wnet do domostwa arcykapłana, orszak zaś cały pozostał na podwórku. Mściwój, pożerany ciekawością, pociągnawszy Tomira za sobą, skierował się w stronę gontyny, ażeby oddać cześć przepotężnemu bożkowi, a następnie ażeby ją zwiedzić.

Wyminęli gaj święty i znaleźli się przed gontyną.

Był to budynek drewniany, potężnych rozmiarów, okryty zewnątrz rzeźbami, podobnie jak świątynia w Szczecinie. Nazewnątrz opasywały świątynię dwa rzędy słupów, na których wspierał się strop i dach, wypukły, miedzią, błyszczącą zdaleka, pokryty.

Gdy dwaj młodzi pielgrzymi zbliżyli się do wejścia, poskoczył wnet ku nim jeden ze służebników i zatrzymując ich, rzekł:

— Nie wolno wchodzić zwykłym śmiertelnikom tem wejściem. Przeznaczone jest ono dla arcykapłana i kapłanów. Dla pielgrzymów wejście znajduje się z drugiej strony.

Zawrócili więc, i idąc za wskazówkami, znaleźli się wkrótce przed drugim wejściem, zawieszonem oponami ze skór zwierzęcych.

Przejęci ważnością chwili, drżący cali z wewnętrznego niepokoju, przekroczyli próg świątyni i odsunawszy oponę, znaleźli się w jej wnętrzu.

Gdy przeminęło pierwsze wrażenie, ciekawie rozglądać się po świątyni zaczęli. Wnętrze jej urządzone było wspaniale... Na 4 słupach potężnych wspierał się strop, a ściany zawieszono były kobiercami i oponami, na których wisiła złota zbroja Swantewida, tarcza jego, oszczep i t. d.

Na samym środku, na wzniesieniu, okrytem purpurą, wznosił się olbrzymi posąg boga Swantewida, z drzewa wyrzezany.

W cztery strony świata spoglądał on czterema twarzami, na znak, że widzi wszystko, że nic uwadze i bacności jego nie ujdzie.

W prawej ręce dzierżył róg metalowy, misterną płaskorzeźbą przyozdobiony i drogiemi kamieniami wysadzany. Róg ten napełniony był miodem. W lewej ręce dzierżył łuk złoty, a przy boku miał srebrny miecz w pochwie.

U stóp posągu, na purpurowej podściółce, spoczywało siodło, czaprak i uzda.

Cały posąg oświeślały płomienie ogniska, podsycanego ciągle i nigdy nie gasnącego.

Z nabożnem skupieniem przyglądał się Mściwój temu wszystkiemu, choć usta jego do modlitwy na cześć tego boga złożyć się nie mogły.

Mimowoli czynił porównania z zaszczepioną mu przez Niemców wiarą chrześcijańską, wiarą wzniosłą, głoszącą miłość i dobro, i po-

równania wypadaly na korzyść tej pierwszej, choć Niemcy tak srodze przeczyli naukom tej wiary... tak łamali i gwałcili wszelkie jej przykazania.

Wyszli z gontyny. Nawiedzili jeszcze stajnię olbrzymią, gdzie przy żłobie, srebrnymi blachami okowanym, stał biały rumak Swantewida, na którym on nocne swe wycieczki czynił.

Sam arcykapłan posługi przy nim sprawował, a do żłobu sypano mu ziarna jęczmienne, specjalnie dobierane i czyszczone.

Ruch wokoło gontyny panował wielki. Kręcili się służebnicy, czyniąc porządki, czyszcząc wszystko, na jutrzejszą uroczystość.

Kręcili się również i pielgrzymi, znosząc dary na ofiarę dla Swantewida.

Nasi znajomi powrócili do namiotów, z niecierpliwością oczekując przybycia obydwóch kneziów.

Późno już było, gdy powrócili, uroczyści jacyś i skupieni, — snać o ważnych sprawach radzono u arcykapłana.

Nie zdradzili się jednak ani słowem przed drużyną, o czem tam radzono, tylko kneź Mszczuj krótko rzekł Mściwojowi:

— Jutro, po uroczystościach, gdy kneziowie zbiorą się na wiec, arcykapłan ogłosi o tobie.

Cicha radość i nadzieja wstąpiły w serce Mściwoja. A nuż znajdzie się wśród kneziów rodzic jego, a z nim i rodzina i imię...

Z niecierpliwością też oczekiwał nadejścia dnia następnego.

Dostrzegł ten jego niepokój stary gęślarz Radon, i pociągnawszy go za szatę, odprowadził na stronę i rzekł:

— Chodź ze mną do starej kapłanki Świętosławy, a ona ci z ognia wywróży wszystko.

Posłuszny temu wezwaniu udał się Mściwój za nim.

Przedzierali się przez obozowisko pełne namiotów i szałasów, z płonącymi przed nimi ogniskami, przy których kręciły się postacie przybyszów z dalekich stron.

Radon wiódł Mściwoja w głąb wyspy, poza święty gaj, otaczający gontynę Swantewida. Znajdował się tam szereg gontyn, pomniejszych bogom poświęconych.

Weszli wreszcie do cudnego gaju, pełnego gwaru, pełnego pieśni i muzyki.

Zmrok już zapadał...

Przez gąszczę drzew przedierały się migotliwe światła ognisk, przy których grzały się gromadki pielgrzymie, gwarzące wesoło, pełne oczekiwania jutrzejszego święta.

— Świętosława słynie daleko, — objaśniał Mściwoja Radon — po całej ziemi słowiańskiej

rozchodzi się szeroko jej sława wieszczbiarska, z dalekich stron też przybywają do niej po przepowiednie, spełniające się zawsze. Bogowie udzielają jej swych rad i nauk, i przez nią wieszczą zwykłym śmiertelnikom ich przyszłość.

Tak rozmawiając doszli do niewielkiej gontyny, znajdującej się w głębi gaju, a z której przez zasłony z tkanin przeblyskiwało migotliwe światło ogniska.

Radon uchylił zasłony i wstąpił z Mściwojem do wnętrza. Pusto tam było... W głębi tylko widniał niezgrabnie z drzewa wyrzezany posąg bóstwa, a przed niem płonęło ognisko, którego strzegła kapłanka, coraz dorzucająca drzewa.

Sędziwa to była niewiasta. Srebrne jej włosy, puszczone luźno na ramiona, tworzyły jakby jedną całość z białą szatą, z lnianej tkaniny zrobionej.

Na tle tej jasnej, niepokalanej bieli uwydatniało się tylko oblicze, zwiędłe, żółte, pomarszczone, jakby z kości słoniowej wyrzeźbione, z oczyma czerwonymi, od ciągłego wpatrywania się w płomienie ogniska...

Nizko skłonił się jej Radon, a gdy spojrzała na nich, rzekł:

— Czcigodna Świętosławo... Przybywam z tym młodzianem, który z niewoli Niemych uciekł, ażeby prosić cię o zapytanie się bogów,

